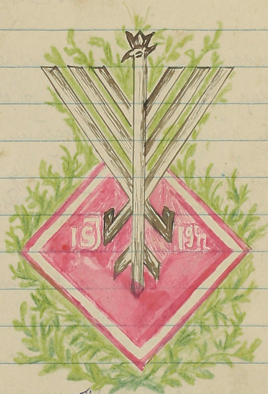





# Pamiętnik

Długo marzyłam, o pamiętniku w którym mogłabym umieść to, co znajduje się w sercu mojem, od chwili w której ojczyzna nasza utraciła Wolność. Długo czekałam .... jednak ....

— Marzenia moje ziściły się. Zawdzięczając Heli W.......

mam dziś to co pragnęłam. Wdzięczność moja nie ma granic. Muszę się jej kiedyś zrewanżować........

Pozostanie mi to pamiątką z Isfahanu, w którym spotkało mnie tyle miłych niespodzianek i wiele radości

Choć może jest to opisane niewolnie, lecz nie jest to powieść, a tylko to, l co przeżyłam, zacząwszy od lat 12. Straszne ciosy, które mi los zadał, poraniły me serce, zostawiły blizny, których już nikt zagoić nie zdoła.

Pawlicka Eleonia

Rok 1939. Nigdy się nikomu nawet nie śniło, i nikt nie przypuszczał, że spotka nas takie wielkie nieszczęście. 1 września wybuchła wojna z niemcami. My mieszkaliśmy na Wołyniu, prawie przy samej granicy Rosyjskiej. Często słyszałam jęki, często widziałam palące się gospodarstwa po stronie rosyjskiej. Lecz nigdy nikt z nas nie przypuszczał, że nogi nasze będą chodziły po tej ziemi i gdzieś daleko na wschodzie, będziemy cierpieć okrutną niedolę. W dniu 4/ września wielu mężczyzn powołano do wojska. Wśród nich i naszego Tatusia. Ponieważ rodzina nasza była bardzo liczna, władze wojskowe przeznaczyły Tatusia do K.O.P.-u, skądby od czasu do czasu mógł zajrzeć do rodziny. Po dwuch tygodniach 16/IX przyjechał Tatuś do domu. Ucieszyliśmy się bardzo, gdyż wszyscy bardzo kochaliśmy Go. Był jakiś smutny, nie wiele do nas mówił. Zdziwiło mnie bardzo, gdy zobaczyłam że z innym wyrazem twarzy niż zwykle czyścił karabin (zdobyty w wojnie światowej w walce z bolszewikami) i szablę (austriacką). Nic przy tym nie mówił. Nie wiedziałam co to ma znaczyć, gdyż Tatuś zawsze był wesoły, pieścił nas, opowiadał nam ciekawe rzeczy i często w wolnych chwilach bawił się z nami lub grał na organkach lub pikoli. — Teraz zdawa

to mi się, że jakiś wielki ciężar przygniata jego serce. Przebrał się; po chwili kazał zawołać młodsze rodzeństwo. Młodsze, bo ja byłam z nich najstarsza, po mnie: Jadzia i Dzidzia, Józio, Lala, Rysio i Edzio najmłodszy. Tatuś miał odchodzić. Całował nas wszystkich, a gdy się żegnał z mamusią, która prosiła, żeby pozostał w domu do jutra odpowiedział: — „Marysiu, bądź spokojna i pilnuj dzieci, a ja będę czu=wał na granicy. Bo któż będzie bronił naszej Ojczyzny i jej wolności, jeżeli nie my; starzy żołnierze wierni jej synowie"! — Zachodziło już Słońce cudnie, rzucając ostatnie swe promienie na ziemię, oświecając ją [illegible]mi barwami. W powietrzu unosiły się jedwabne niteczki babie-go lata. Nad ogrodami latały białe motyle. W sadku uginały się jabłonie, grusze i śliwy pod ciężarem owoców. Jakaś niezwykła cisza panowała wokół. Słońce żegnało ziemię Polską w tym ostatnim dniu jej wolności. Słońce zaszło. Tatuś odchodził; w oczach miał łzy, pokręcał wąsy. Widocznie przeczuwał, że to już ostatni raz żegna się z nami. Pocałował nas jeszcze raz i odszedł.... odszedł na zawsze.

W nocy padał deszcz, grzmiało i częste błyskawice przerywały niebo. Ponieważ padał deszcz spałam dość mocno. Szaro było jeszcze zupełnie gdy się przebudziłam i ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, zobaczy=

Tam przy oknie siedzącą mamusię... płakała. Natychmiast wstałam i podeszłam do mamusi. Co mają znaczyć łzy w oczach jej. Nic nie rozumiałam. Zapytałam nieśmiało dlaczego płacze. Otrzymałam odpowiedź — „Już my pewnie naszego Tatusia nie zobaczymy, spójrz, co się dzieje za oknem." Twarzą przylgnęłam do szyby, ażeby móc lepiej rozeznać co było na dworze. W tejże chwili stanęłam jak wryta. Całe pola wokół naszego podwórza zapełnione były wojskiem. Dały się słyszeć strzały. Bez przerwy sunęły ciężarowe autobusy, kawaleria, tabory. Przez pola, pagórki, ciągnęły czołgi. W mroku nie można było rozpoznać co to za wojsko. Widząc niepokój w oczach mamusi. Starając się pocieszyć mamusię mówiłam, że to napewno wojsko polskie tędy idzie, na pomoc walczącym z niemcami. Trochę się uspokoiła, lecz nie na długo. Zaczęło się rozwidniać. Eskadry samolotów wojennych bez przerwy krążyły pod obłokami złowrogo warcząc. Wtem do mieszkania weszła starsza już kobieta, p. Kierysowa i powiedziała nam, że są to bolszewicy. Po chwili rozmowy, poprosiła mnie, abym podała jej wody, a sama wyszła na dwór. Nie wiedziałam dlaczego to robi. Zdziwiłam się i jednocześnie serce zabiło mi mocniej. Wyszłam podając jej wodę, ~~gdy~~ usłyszałam niespodziewane słowa, które były tak bolesne dla mnie

Mówiła: — „Nie przerażaj się dziecino moja, uważaj na zdrowie mamusi, otóż tatuś wasz nie żyje. Leży pod lasem Brzezińskim z przebitym sercem. Życie oddał Ojczyźnie na straży Jej granic. Nie martw się"...

— Nic więcej nie słyszałam. Siły mnie opuściły zupełnie. Ocknęłam się. Leżałam pod rozłożystą czereśnią, i nikogo nie było koło mnie. Zapomniałam o tym co zaszło. Nie mogłam sobie wytłumaczyć dlaczego się znajduję w ogrodzie pod drzewem. Poszłam do mieszkania, i tutaj odrazu przypomniałam sobie wszystko. Mamusia już też dowiedziała się o śmierci tatusia. Była wprost nieprzytomna. Co chwilę popadała w omdlenie. Nie słyszała nas, ani tego, co do niej mówili inni. W mieszkaniu i na podwórzu było pełno ludzi z osady, futoru, i nawet z Białozórki. Jak tylko mogłam powstrzymywałam się ażeby nie wybuchnąć łkaniem. Starałam się pocieszać mamusię. Prosiłam, ażeby nie zostawiała nas sierotami. Tak zszedł cały dzień. Był on długi jak rok. Nadeszła noc. Moja chrzestna mamusia nocowała u nas i nadal pozostała z nami. Okazała nam wtedy wiele serca. Bóg jej wynagrodzi. Całą noc mamusia nie spała, ja również. Dopiero nad ranem udało się nam namówić mamusię aby położyła się spać. Zdrzemnęłyśmy się również i ja z chrzestną mamusią. Następnego dnia

mamusia razem z ludźmi zebranymi udała się na miejsce, gdzie zginął Tatuś. Zwłoki przyniesiono do świetlicy K.S.M. Ksiądz Roman Jałocho kazał natychmiast zrobić trumnę i odprawił mszę św żałobną. Grono osadników wojskowych złożyło zwłoki swego kolegi, a mojego ukochanego Tatusia na cmentarzu Białozóreckim, na wieczny sen. Ja nawet w tym ostatnim dniu nie mogłam być przy tym, którego tak bardzo kochałam. Musiałam pozostać z dziećmi w domu, gdyż wojsko sowieckie bez przerwy szło przez naszą działkę, a często jeździec wpadał na podwórze, często coś mówił, lecz prawie nic nie rozumiałśmy. Dzień ten zadał okrutny cios całej naszej rodzinie. Pozostanie on na zawsze w mej pamięci, a zadanej rany nikt nie zagoi. Upływały dni za dniem. Dni smutku i ciężkiej żałoby. Wszystko było zupełnie inne, nawet słońce świeciło inaczej. Wieczorami psy wyły okrutnie, jakgdyby rozumiały to co się stało. Zmieniło się wszystko z chwilą przyjścia bolszewików. W sklepach zabrakło nawet soli i nafty. Żydzi pozadzierali nosy do góry. Grozili polakom, że „Już skończyło się wasze" Prišly braty, tepur nasze prawo." Ukraińcy znęcali się nad osadnikami. Niesłusznie oskarżali przed władzami rosyjskimi. Niszczyli wszystko w ogrodach. Wykopywali sami kartofle nie zostawiając gospodarzowi nic. Opisywali wszystko zboże i dobytek, a nawet instrument martwy. Pozamy=

kali magazyny ze zbożem. Zrobili się całkowitymi gospodarzami polaków (osadników). Bez ich wiedzy nie wolno było nawet wziąć zboża tyle ile trzeba było na chleb. Za najmniejszą rzeczą, trzeba było iść do komitetu, który składał się z najzaciętszych ukraińców, przy tym ludzi ciemnych, nie posiadających zupełnie oglądy, i kłaniać się im i prosić o łaskę. Wtedy oni drwili, szydzili, naśmiewali się z nas i zawsze wytykali „Pany propały". Ile razy mamusia wróciła z tamtąd zawsze była zapłakana. Postanowiłam więc, nie puścić więcej mamusi do komitetu. Chodziłam sama. Gdy pewnego razu poszłam prosić, aż eby pozwolili sprzedać trochę zboża na potrzeby domowe, kołowa komitetu tak mi odpowiedział: — „Propadete wsi jak wasz batko". Nechaj win wam dast, ja ne dam ani odnoho zerna".

Rozpłakałam się i odeszłam. Pomyślałam, że wolę w tej chwili umrzeć, a więcej do nich nie pójdę prosić o swą własną pracę, i twoich moich rodziców. Wezmę pokryjomu, a do nich nie pójdę. Wróciłam do domu i przy pomocy Józia Dzidzi i Jadzi postanowiłam wykraść trochę zboża. Wprawdzie magazyn był zamknięty na wielką kłódkę, ale w suficie były drzwiczki których nie zauważono i nie zamknięto. Spuściłam się do wnętrza, a moi pomocnicy zostali na strychu.



Do grubej linki przymocowaliśmy wiadro. Ja nabierałam do wiadra zboże, a oni wyciągali i zsypywali do worka. Kiedy już zboże było przyszykowane, powiedziałam mamusi, że pojadę za granicę. Dużo ludzi chodziło tam za solą, naftą, mydłem. Zboże było tam bardzo drogie i za nie można było dostać wszystkiego. Trzeba było tylko uważać przy przechodzeniu przez granicę, ażeby nie wpaść w ręce straży rosyjskiej, która wciąż jeszcze strzegła starej granicy, ażeby z polskiej strony ludzie nie przechodzili do Rosji, a tamci do nas. Mamusia zaprzeczyła, bo jeżeliby złapali, czekało więzienie lub inne ciężkie kary. Jednego żyda złapano na granicy po raz trzeci. Wiózł obuwie i jeszcze tam coś. Rozstrzelano go. Konie pędziły jak szalone, na wozie leżał trup, krew zostawiała ślady na drodze. Lecz ja chciałam przekonać mamusię, że mi się nic nie stanie. Więc po kryjomu, nie mówiąc nic więcej mamusi, poszłam do koleżanki Mani Staniszewskiej, która mieszkała niedaleko, tuż przy granicy. A w tym miejscu najbezpieczniej było przejść przez granicę. Umówiłyśmy się, że kiedy kogut zapieje pierwszy raz wyjdziemy z domu. O tej porze będzie najbezpieczniej przedostać się do wioski odległej o 5 km

od granicy, w której napewno będzie można wymienić soli i mydła. Nie spałam prawie zupełnie. Wszystko miałam przyszykowane. Kogut zapiał, już czas. Bez najmniejszego szumu ubrałam się, wzięłam około 8 kg wszczanej kaszy w worek, zarzuciłam na plecy, do ręki wzięłam kij i wyszłam. Noc była ciemna. Na myśl przychodziły mi różne opowiadania i bajki. Trochę się bałam, ale przeżegnałam się i polecivszy się opiece Bożej, ruszyłam. Mania już nad mnie czekała. Jeszcze raz obie przeżegnałyśmy się i poszłyśmy. Przeszłyśmy przez granicę nie spotkawszy nikogo. Ciemno jeszcze było zupełnie gdy przyszłyśmy do wioski, Szybenny. Zaledwie można było rozpoznać lepianki przysiadłe do ziemi, często pochylone, popodpierane drągami. Zaczęło świtać. Teraz dopiero oczom naszym ukazała się panująca tu nędza, w całej pełni. Wymieniłyśmy soli, nafty, mydła i zaraz ruszyłyśmy w drogę powrotną. Niebezpieczeństwo czychało na każdym kroku, ponieważ był dzień. Zdawało nam się, że lada chwila złapią nas. Szłyśmy nic do siebie prawie nie rozmawiając i omijałyśmy miejsca w których można się było spodziewać straży. Doszłyśmy do granicy. Oglądamy się na wszystkie strony, czy też kogo niema. „Niema… ale z obserwatoru mogą nas zobaczyć. Zdaje się, że tam niema też nikogo. Chodźmy!"

— Już jesteśmy na granicy, gdy wtem: — „Stój!" - Stanęłyśmy. „Co teraz będzie?" — mówimy do siebie. Ogarnął nas strach. — Nadszedł żołnierz rosyjski. „Kuda chadili?" zapytał. „Razwie nie znajete szczo chodyt' tudy ne łzia". My udałyśmy, że nie słyszymy co on do nas mówi, przywitałyśmy go: „Zdrastwuj towarysz" myśląc, że w ten sposób odpę=dzimy jego gniew. Kazał nam iść za sobą. Wiedziałyśmy, że prowadzi nas na strażnicę, zwaną zastawą. „Nie pójdziemy" szepnęłam do Mani. Usiad=łyśmy obie na ziemi. Zaczęłyśmy stękać, że nam jest bardzo ciężko. Wpraw=dzie niosłyśmy samej soli po 12 kg. Porobiłyśmy kwaśne miny i zaczęłyś=my trzeć oczy chcąc płakać nawet nie myślałyśmy. Obiecałyśmy, że już więcej nigdy nie pójdziemy za granicę. Z początku nie chciał wcale słuchać naszych próśb. Po pewnym czasie, oglądnął się we wszystkie strony i pozwolił nam uciekać do domu, przy czym zapytał o nasze nazwiska. Odpowie=działyśmy, oczywiście fałszywie: ja „Kowbasiuk" ona „Kriwenko".

— „Doswidania, spasibo"! Nie czując ciężaru przygniatającego nasze plecy, puściłyśmy się biegiem. — „Chwała Bogu, wyszłyśmy cało" powiedzia=łam. Nie spostrzegłam się, jak przyszłam do domu. Mamusia widząc moje poświęcenie, nie krzyczała na mnie, tylko ostrzegała mnie, abym była ostrożna, gdyż może mi grozić niebezpieczeństwo.

Dni upływały. Wszystkie były podobne do siebie, monotonne pełne smutku i coraz gorsze. Nie jeden jeszcze raz chodziłam, i jeździłam za granicę po sól, cukier, mydło i naftę. Wiele miałam przy tym przygód, których nie zdołam opisać. Tymczasem chłopi aresztowali wszystkich osadników. Znęcali się przy tym okrutnie. Popychali, bili i zamykali w więzieniu, trzymając po trzy dni bez wody i jedzenia. Więzieniem były folwarczne spichrze, lub piwnice. My chcąc choć czym kolwiek odwdzięczyć się cierpiącym, pokryjomu podchodziłyśmy pod więzienie, robiłyśmy dziury w podmurówce czy ścianach i tamtędy podawałyśmy więźniom jedzenie. W każdym domu osadniczym panował smutek i łzy. Niebo również płakało nad dolą nieszczęsnych Polaków. Dni były pochmurne, dżdżyste, i słońce bardzo rzadko swymi promieniami oświecało ziemię. Nadszedł listopad, jeszcze bardziej dżdżysty. Żyzna ziemia wołyńska rozmiękła i błoto było powyżej kostek. Trudno było dostać się do Białozórki, która była od nas odległa o 3 kilometry, a cóż dopiero mówić o dalszej podróży. Tymczasem ukraińcy chcieli się koniecznie pozbyć osadników. Często robili zebrania t. zw. schody, na których niesłusznie posądzali ich, t. z. osadników. Zebrania odbywały się na rynku, a zawsze na nich był obecny komisarz rosyjski. Głęboko w sercu utkwiły mi słowa Jurczenki wypowiedziane przeciw polakom, na jednym z zebrań, a które

były okrutnym kłamstwem. Ponimo, że był ukraińcem, był kierownikiem i nauczycielem w szkole polskiej. Córki jego uczyły się w ukraińskim gimnazjum. Na zebraniu mówił, że Polska zabraniała im nawet mówić w języku ukraińskim, że bito ich, uciskano, gnębiono, niewinnie więziono i musieli za darmo pracować na Polaków. Postanowili więc pozbyć się osadników. Lecz w jaki sposób?..

Jedni krzyczeli – „Wyrżnąć ich", a inni „Odebrać wszyst i wypędzić". Więcej zwolenników było za tym drugim. Dnia 11-ego listopada wypędzili wszystkich, zezwalając wziąć im zaledwie 5 cetnarów zboża, wóz i parę koni. Nie można było patrzeć, z jakim bólem opuszczali swe gniazda rodzinne, budowane mozołem własnej pracy, zroszonej krwawym potem. Ileż dni ciężkich musieli przeżyć może nawet w biedzie, ażeby zapewnić sobie lepszą przyszłość. Teraz wszystko to musieli zostawić i udać się niewiadomo gdzie. Opustoszała osada. Tylko 4 rodziny, a wśród nich i my pozostaliśmy. Mamusia była wówczas ciężko chora to też sumienie nie pozwoliło im wygnać nas. Lecz jak wyglądała osada?...

Puste domy z powyrywanymi ramami okien, z powywalanymi piecami, porąbaną podłogą i wyłamanymi drzwiami, zdawało się,

że wołają pomocy swych gospodarzy. Przez kilka dni rozlegał się krzyk drobiu, głodnego, ryk bydła, kwik koni i świń. Psy okrutnie wyły, biegały po polu szukając pożywienia, i spowrotem wracały do swych bud nie wiedząc co się stało z gospodarzami. Nadal wiernie strzegły dobytku. I gdy chłopi po kilku dniach przyszli zabrać dobytek, niejeden odszedł z poszarpanymi spodniami.

— Ciężkie dni wolno upływały. Nadeszła zima, sroga: śnieg padał bez ustanku. Często dął mroźny wschodni wiatr usypując zaspy śnieżne. Takiej zimy w polsce od kilku lat nie pamiętano.

Nad polakami znowu zawisło straszne nieszczęście, którego nikt się nie spodziewał, a które tak szybko na nich spadło. Dnia 10-ego lutego raniutko, mamusia jak zwykle szykowała śniadanie, a ja sprzątałam w pokoju sypialnym. Wtem na podwórze zajechały sanie, przemknęły koło okna i koło samego domu stanęły. Do kuchni wszedł bolszewik w towarzystwie kilku chłopów. Byli wśród nich i polacy. Kazano nam wszystkim usiąść na łóżku w sypialnym pokoju i nie wolno się ruszać. Zaczęto robić rewizję w całym domu. Wszystko poprzewracano, ale na szczęście broni nie znaleziono, która była schowana pod podłogą w magazynie. Po przeprowadzeniu

rewizji kazano nam zebrać się, wziąć 20 pudów bagażu i za pół godzi=
ny wywiozą nas z domu. Nie rozumieliśmy tych słów: — Jakto?
Mamy opuścić własny dom. Głos żandarma co chwila groźniejszy:
— „Bystrej sobierajties, bystrej!" — Ale nam wcale się nie spieszyło.
„Jeżeli mają nas pozabijać gdzieś w polu, to lepiej tu we własnym
gnieździe," powiedziała mamusia. Nie pomógł opór. Trzeba było
opuszczać dom. Pocieszając mamusię zaczęłam ubierać rodzeństwo
i co najważniejsze rzeczy pakować. Już każą wychodzić. Zdjęłam
jeszcze ze ściany obraz Serca Pana Jezusa, który miał nas strzec
gdziekolwiek byśmy się znaleźć mieli. Żegnałam każdy kąt w domu,
każdy wazonik, każdy kwiatek i listek. W tej chwili wszystko wydawało
mi się tak drogie, a na myśl, że trzeba to wszystko opuścić serce krajało się
z bólu. Mamusia z trzymiesięcznym Adasiem na ręku, Jasią, Dzidzią,
Rysiem, Lalą i Edkiem jechała w jednych saniach, a ja z Józiem na
drugich, na workach z pszenicą. Ruszyliśmy. Wzrok mój skierowałam
tam, gdzie spędziłam najmilsze chwile w swym życiu. Byłam sercem
i myślą w każdym kątku i przy każdym drzewie. Powoli wszystko
zniknęło mi z oczu. Dojechaliśmy do Białozórki. Po obu stronach
drogi, na balkonach i w oknach domów pełno było gawiedzi

i rozwydrzonego chłopstwa. Pokazywali nas palcami, drwili i naśmiewali się. Nie mogłam na nich patrzeć. Spuściłam w dół oczy: ze ściśniętym z żalu gardłem nie mogłam nawet do brata przemówić słowa. Jechaliśmy nie wiadomo dokąd. Wtuliłam twarz w ręce. Gorące łzy spływały mi po palcach. W duchu modliłam się, prosząc Pana Boga i Matkę Najświętszą o opiekę nad nami. Mocno wierzyłam, że Matka Najświętsza czuwa nad nami.
— Ciemno było gdy przyjechaliśmy do stacji Łanowce. Tu załadowano nas do wagonów. Każdy przytulił się gdzie mógł i tak przetrwaliśmy do dnia następnego. Nazajutrz jak kto mógł ulokował się. W wagonie było brudno, jak zwykle w towarowych podwójne nary po obu stronach. Po środku stał żelazny piecyk, obok trochę węgla w skrzynce, a przez malećkie dwa okienka blade promyki dziennego światła wpadały, jakgdyby starały się rozjaśnić życie skazańców. Zgodziliśmy się z wolą Boga i nie narzekając na los pocieszaliśmy się wzajemnie.
Trzeciego dnia wyruszyliśmy z Łanowiec. Szatou około 1 km. długości ciągnął polaków z różnych okolic wołynia i W naszym wagonie było 29 osób: Pan Lubliński z rodziną, p. Szot, p. Olesiowa, pani Tarnowska z dziećmi i nas 9 osób. W tym dzieci 20-oro.

Raz na dobę wypuszczano nas po wodę i jedzenie. Zajmował się tym głównie p. Lubliński jako starosta wagonu. Poza tym drzwi ciągle były zaryglowane. Jechaliśmy po linii: Łanowce – Zbaraż – Podwołoczyska. Piątego dnia około godziny 10-ej rano usłyszeliśmy: – „Za chwilę przejedziemy granicę." W wagonie ucichło. Za chwilę opuścimy, może na zawsze tę kochaną Matkę – ziemię, krwią ojców naszych zroszoną.

Wtem rozległ się potężny śpiew. Żołdacy zaczęli stukać do drzwi, starając się w ten sposób uciszyć ludzi. Lecz nic nie pomogło. Cały transport, jak jeden mąż wszyscy śpiewali „Kto się w opiekę", potem „Pod Twoją Obronę" i „Serdeczna Matko". Minęliśmy most, stanowiący granicę. Teraz wszyscy wybuchnęli głośnym szlochem. – „Żegnaj nam kochana Ziemio! O miłosierny Panie! Daj nam wrócić do niej!" Pamiętam doskonale pocieszające słowa p. Lublińskiego: – „Da Pan Bóg, że za pół roku będziemy w domu. I tak nawzajem pocieszając się mijały nam dni i tygodnie. Jechaliśmy bez przestanku dzień i noc. Mijaliśmy stacje, na niektórych zatrzymując się bardzo krótko. Charków – Kijów – Tuła – Kazań – Sołikamsk. Tu stanęliśmy: powiedzieli nam, że będziemy wysiadać. Pod wagony podjechały auta ciężarowe, na które załadowywano po 35 osób. Bagaż załadowano na oddzielne samochody. Zapadła ciemna noc. Zawieja i trzaskający mróz. Bolszewicy pocieszają nas, że to nie daleko, zaledwie pół godziny drogi. Samochód mknie. W uszach gwiżdże wiatr.

Już jesteśmy na miejscu. Duży dziedziniec obcrony murem na który wchodziło się przez ciężką żelazną bramę. Wprowadzono nas do budynku i zamknięto po kilka rodzin w celi. Wysokie ściany wąskich cel poobdzie=rane, po których łaziły pluskwy. Pod samym sufitem było małe okienko zakratowane, przez które dostawały się blade promyki dziennego światła. Całość dopełniały małe ciężkie drzwi, okrutnie skrzypiące, przy ich otwieraniu i małe okienko nad drzwiami przez które „strełok" obserwował więźniów.

Bardzo smutne wrażenie zrobiło na nas to więzienie, tym większe, gdy oznajmiono nam, że w lochach również są ludzie, którzy cierpią straszne katusze. Zamykają ich tam boso, w jednym tylko więziennym ubraniu i odrobina chleba z szklanką wody, jest pożywieniem takiego człowieka na całą dobę. Myśleliśmy, że tu już przyjdzie nam złożyć swe kości, i tylko modlitwą, wiarą w Opatrzność Bożą i nadzieją podtrzymywaliśmy się nawzajem na duchu.

— Trzeciego dnia rano jeden ze strażników oznajmił nam, że za chwilę wsiądziemy do samochodów, i pojedziemy do 180 km odległego miasteczka Krasnowiszerska. Ucieszyliśmy się tą wiadomością, i nadzieja jaśniej zabłysła w naszych sercach. Zeszło kilka godzin, póki wszystkich załadowano do samochodów. Już późno wieczorem ruszyliśmy. Ciasno było bardzo. Samochód ciężarowym z wierzchu pokryty był brezentem. to też duszno było bardzo i nie odczuwa=

liśmy zimna. Wtem w drugim końcu samochodu rozległ się przeraźliwy krzyk: — „Dziecko! Dziecko nieżyje!" — Rzeczywiście rodu=siło się. Rozwidniało się, gdy przyjechaliśmy do Krasnowiszerska. Tu już czekały na nas sanie, zaprzężone w małe syberskie konie. 30 kilometrów dzieliło nas od Piszczanki, gdzie mieliśmy pozostać jak mówili - na zawsze. Całą drogę przyglądałam się potężnym świerkom, tak żałośnie szumiącym i w tej chwili pomyślałam, że muszą tu spoczywać tysiące ludzi. Pod wieczór dojechaliśmy na przeznaczone miejsce.

## Posiołek

Niewielka polanka o spozym wzniesieniu, ze wszystkich stron otoczona starym szumiącym lasem, którego jeszcze żadna noga ludzka nie zmierzyła. Gdzie okiem sięgnąć wszędzie las. U stóp polanki przepływa niewielka rzeczka, w której ludzie czerpali wodę do swego użytku, albowiem studni nigdzie nie było. 49 domków w których osadzono 150 rodzin-Polakaków, kilka baraków zajętych przez administrację i kombara, stanowiły całkowite zabudowanie posiołka. W dali widniały wysokie góry Uralskie porośnięte lasem iglastym dość wysoko, oraz ich granitowe, gołe szczyty. Śnieżny płaszcz dochodzący do 2 metrów grubości otulał ziemię ukrywając to, co się znajdowało na niej i w niej. Często przebiegała sarna, a wieczorami słychać było przeraźliwe wycie wilków zgłodniałych. Ptactwa prawie nie było.




Piszczanka

(kooperatywa, komendantura, piekarnia)

Tutaj nastały dla nas dni ciężkie do przebycia. Dni chłodu.. głodu i prześladowania. Tydzień po przyjeździe naszym do posiołku komendant Bańkow zwołał zebranie, na którym powiedział: „Zawtra wsie kak odin czełowiek ot szesnadcati let w les na rabotu. Połucziytie topory piły i kołuny w instrumientalkie i budietie rabotat' k gosudarstwien=nomu dobru," a na koniec dodał „Kto rabotajet tot kuszajet."

— „Co teraz robić? Przyjdzie się zginąć w tym lesie, bo przecież człowiek nie da rady przy tych olbrzymich drzewach!" Słychać było urywaną co chwila rozmowę. Ja również biłam się z myślami. Co my będziemy robić? Mamusia w drodze zachorowała i leży wciąż je=szcze chora. Ja mam dopiero 13-ty rok i nie zdołam zarobić na utrzymanie mamusi i rodzeństwa. Lecz ile mi sił wystarczy, będę pracować.

Nazajutrz rano wyszłam do roboty, wprawdzie nie chcieli mnie przy=jąć bo byłam za młoda. Takich jak ja było kilka. Wreszcie przynieśli nam olbrzymie drewniane łopaty i poszłyśmy z dziesiętni=kiem do lasu. — „Budietie dielat' dorożku. Za odin metr kubiczeskij wybroszennogo śniegu połucziytie 5 kopiejek." To zakłszy dziesiętnik odszedł. Zaczęłyśmy pracować. Szło nam niesporo. Zmęczyłyśmy się i nawet nie odczuwałyśmy zimna, pomimo że było 35° mrozu. Nie mogłyśmy się doczekać, kiedy wreszcie puszczą nas do domu Wtem rozległo się po lesie echo gongu. Już koniec roboty! Chodźmy

Upływały nam dni przy pracy: ciężkie i mozolne. Mamusia wyzdrowiała i musiała też iść pracować. Doktór uznał ją niezdolną do pracy w lesie, to też naznaczono ją stróżką w t. zw. „jaślach". Trzeba było napalić w pięciu piecach, narąbać drewa, w pięciu dużych salach i na korytarzu wymyć podłogi, nanosić wody do kuchni, co tydzień prać bieliznę jaślaną, poza tym wszędzie pilnować porządku. Przestałam chodzić na „dorożkę", natomiast pomagałam mamusi. Póki jeszcze było trochę pszenicy i kaszy z domu, to jako tako, kiedy zaś tego brakło; nastały dla nas dni ciężkie. Całe szczęście, że mieliśmy tej zimy czym palić. Stosy drewa przygotowane przez gospodarza tego mieszkania wystarczyły nietylko dla nas, lecz i nasi sąsiedzi tym drewnem palili. Dni upływały: monotonne jeden gorszy od drugiego. Ludzie otrzymywali listy od krewnych, te jedynie wszystkich podtrzymywały na duchu. Posyłki, będące wielką pomocą materialną. Tylko my oprócz listów, które otrzymywałam od swej przyjaciółki Danusi Siniarskiej, zapewniającej w każdym że bliska jest nadzieja naszego wyzwolenia, nie otrzymywaliśmy od nikogo nic. W dobrych czasach wielu było przyjaciół. Teraz wszyscy zapomnieli o nas. Nie... przecież nie wszyscy, bo przecież Pan Bóg o nas pamięta i nie opuści zapomnianych sierot.

Listy Danusi były dla nas jedyną pociechą. Przed nią zwierzałam się ze swych bólów (w odpowiedziach). Opisywałam jej o wszystkim.

Był miesiąc maj. Zima miała się ku końcowi. Pewnego dnia dowiedziałam się, że 18 km od Piszczanki, na Kamionce są dobre zarobki przy sezonowej pracy: zbijcie „ciurek". Postanowiłam więc prosić komendanta, żeby pozwolił mi tam pracować. Ku wielkiemu mojemu zadowoleniu otrzymałam pozwolenie. Mamusia niechętnie zgodziła się na to. Zapewniając mamusię, że ciężkich prac wykonywać nie będę, przed południem poszłam na Kamionkę. Idąc dogoniłam Irkę M., która również tam szła w tym samym celu co i ja. Szłyśmy razem, układając plan naszej pracy. — „Jak przyjemnie będzie, gdy zarobimy dużo pieniędzy i powrócimy do domu zadowolone, że choć trochę będziemy mogły pomóc mamusiom." Rozmawiając nie zauważyłyśmy, że uszłyśmy już kawał drogi. Wokoło szumiał las. Od czasu do czasu skrzypiała gdzieś w głębi lasu pęknięta sosna. Szłyśmy wąskim wyrębem, który stanowił większą połowę drogi. Opanował nas jakiś dziwny niby-lęk. Droga była uciążliwa, a najgorsze, to już było przejść te siedem bagien, których w żaden sposób nie można było ominąć.

— „Kiedyż wreszcie dojdziemy?" co chwilę powtarzałyśmy. „O zobacz tam w dali coś widać, niby polanka" – powiedziała Irka. Przeczywiście oczom naszym ukazały się 4 długi baraki. Istotnie była to Kamionka. Słychać już było stuk siekier i warkot traktorów, dowrzących obcyszczone kłody drzew z lasu do rzeki (Wierzejki) po której spławiano je do fabryki papieru w Krasnowierzeńsku, a która przepływała tuż obok baraków. Nareszcie przyszłyśmy.

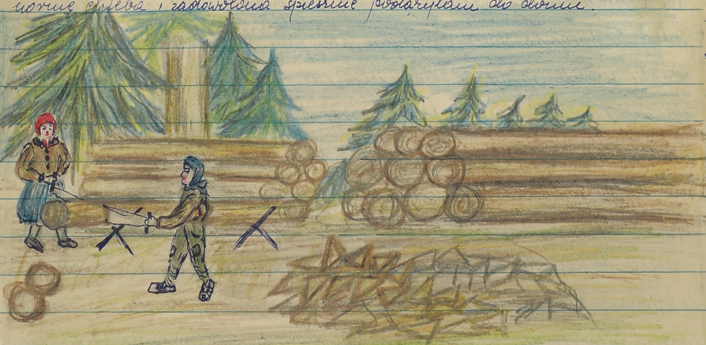
Naczelnik długo kręcił nosem, aż wreszcie przyjął nas do pracy. Zaznaczył przy tym, że za dwa tygodnie zwięcie „ciurek" będzie skończone. Wskazał nam barak, w którym miałyśmy tymczasem mieszkać. Weszłyśmy do środka, i zaraz rozlokowałyśmy się na swych łóżkach. Mieszkały tu dziewczynki w wieku od 16 – 18 lat i dwie starsze panie. Wszystkich nas było 18 osób. Smutek odpędzałyśmy precz, ciągłym śpiewaniem. Jednym słowem, na pozór było wesoło.

Do roboty miałyśmy około 50 metrów. Nazajutrz rano dostałyśmy piłę i siekiery. Zabrałyśmy się solidnie do roboty. Zrobiłyśmy „koraka", przyszykowałyśmy „łomy" i zabieramy się do kłód. — „Jeszcze trochę, Razem!... no jeszcze! Chłopcy pracujący niedaleko nas widząc jak się męczyłyśmy z wyciąganiem kłody, przyszli nam z pomocą.

„Rrrazem!... Jeszcze raz!" i już kłoda leży na „koziołku". W mig okorowałyśmy ją i rżniemy kółka o grubości 10 cm. Z początku szło nam nieźbyt dobrze, lecz i do tego nabrałyśmy wprawy. Dzień miał się ku schyłkowi. Już miałyśmy porżnięte 1½ kłody o średnicy 60 cm. Trzeba porąbać każde kółko na trójkątne kostki, które gdy wyschną służą jako opał przy poruszaniu traktorów, aut z braku benzyny. — „Ile też mogłyśmy dziś zrobić?" spytałam Irki. Zaczęłyśmy obliczać na oko... mniejwięcej. — „No zobaczymy. Przyszedł dziesiętnik przyjmować pracę. Nosimy czurki skrzynką przeznaczoną do miary, uginając się pod ich ciężarem. „Kubometr czurki stoit 18 rublej" — powiedział dziesiętnik. My mamy niecałe pół kuba, a napracowałyśmy się porządnie. — „Dobrze i to! po 4 ruble mamy, a na Piszczance na 4 ruble trzeba harować cały tydzień!" Wykrzyknęłyśmy jednocześnie. Drugiego dnia zrobiłyśmy prawie tyle samo, trzeciego już mniej. Niema innej rady, tylko trzeba kombinować. „Dobra jest" zgodziła się Irka — „Więc od jutra zaczynamy." „Korzystać, jak się daje!". Następnego dnia już nie pracowałyśmy tak jak przedtem. Częściej odpoczywałyśmy, a w chwilach, kiedy mniejwięcej wiedziałyśmy, że nikogo niema w pobliżu, jedna z nas stała na stosie kłód pilnując, aby kto nie nadszedł, druga natomiast skradała

się porwiązały stosami do kupy ciurek, które schły. Nabrawszy pełen fartuch wracała. Robiłyśmy to na zmianę. Często rozniecałyśmy ogniska w chłodniejsze dni, ogrzewając skostniałe ręce śpiewałyśmy nasze kochane polskie piosenki, które tyle dodawały nam otuchy w tych ciężkich chwilach. Gdy którakolwiek z nas zauważyła w dali dziesiętnika, majstra, czy też naczelnika: zaraz zaczynałyśmy bić siekierami w kłodę, udając że z wielką zawziętością pracujemy. I tak jakoś szło. Lecz naszych kombinacji używałyśmy nie tylko przy pracy. Podobnie było w stołówce. Hasłem naszym było: „Dobrze jeść, a mało płacić"! Korzystałyśmy z tego, że kasjerka miała krótką pamięć. Było tak; że przyjdę z rublem i kupię najtańszą zupę, ta nie ma wydać reszty, więc każe mi pamiętać, zapewniając, że ona nie zapomni. Starałam się zostawić u niej choć dwie kopiejki, bo wtedy narastało mi procentu 82 lub 82 kopiejki. W ten sposób, straciwszy zaledwie parę kop. żywiłam się cały tydzień i wydałam tyle tylko, ile potrzebowałam na kupienie chleba. Tak mijały dni. Przeniesiono nas później na Krasny Jar niedaleko od Kamionki, bo tam już roboty nie było. Na Krasnym Jarze było jeszcze lepiej. Miałyśmy dziesiętnika polaka przed 10 laty zesłanego tutaj

na ciężkie prace. (Antoś Gołębicki). Opowiadał nam często, oczywiście w sekrecie, jak bardzo pragnąłby jeszcze być w Polsce. Nie liczył się wcale, i zapisywał nam ile żeśmy chciały. Tu praca nie kosztowała nas wiele wysiłku. Dzieci wyjął za dniem. Zbliżała się wiosna. Zaczęły topnieć śniegi. Przy ciurkach nie było już pracy. Wróciłyśmy na Pisczankę, zadowolone. Wypłacono nam należność. Po odliczeniu na N.K.W.D. i innych odtrąceniach przymusowych na ręce otrzymałyśmy po 82 ruble i 39 kopiejek. Radość nasza nie miała granic. Po drodze wstąpiłam do kooperatywy, kupiłam całą normę chleba i zadowolona spiesznie podążyłam do domu.



Ja i Irka M. rżniemy ciurki na Kamionce.

W domu było tylko siostrzyczka Jadzia, Dzidzia leżała chora, otrzymała zastrzyk przeciw tyfusowi i ciężko zachorowała. Józio jak zwykle coś majstrował. Mamusia pracowała. Edzio i Maniuś byli w „jasłach", a Lala z Rysiem w „ochronce". Zmartwiła mnie bardzo choroba Dzidzi. Leżała w gorączce i wciąż majaczyła już 4 dni. Następnego dnia mamusia pozostała przy chorej, a ja zastąpiłam mamusię w pracy. Trochę było mi ciężko, ale starałam się wszystko wykonać dokładnie co do mnie należało. W wolnych chwilach bawiłam się z dziećmi, uczyłam je piosenek i zabaw jak: „wlazł kotek na płotek", „ta Dorotka", „leci ptaszek" a gdy nie było kierowniczki, „kto ty jesteś?" zastrzegając dzieci przy tym, aby przy kierowniczce tego nie powtarzały jeżeliby zapytała czego ich uczyłam. Dzieci przywiązały się do mnie odrazu, tak jak i do mej mamusi. Były wesołe i bawiły się ochoczo, nie zdając sobie sprawy z tego co się wokół działo.

16/VII. przed obiadem jak zwykle do jaseł przyszedł doktór, i powiedział, że zwalnia mnie z pracy ponieważ w domu naszym panuje ~~tyfus~~ odra. Nie odpowiedziawszy słowa, ze łzami w oczach odeszłam do domu. Rzeczywiście już i Józio leżał chory. Po południu nadjechał wóz i zabrał ich przymusowo do szpitala. W przeciągu tygodnia wszyscy zostali złożeni chorobą. Mamusia też zachorowała, i nawet doktór nie mógł rozpoznać na jaką chorobę. Ja też źle

się czułam. Bolała mnie głowa i wciąż miałam podniesioną temperaturę, o czym nie wiedziała mamusia. Nie dawałam się chorobie, trzymałam się jak mogłam. Sześć osób leżało w domu, wszyscy ciężko chorzy. Ja jedna chodziłam przy nich: mierzyłam trzy razy dziennie temperaturę i robiłam co mogłam. Cierpiałam przy tym okropnie. Znów zabrano do szpitala Jadzię Rysia i Lalę. Zostało nas czworo. Mamusia coraz słabsza. Obok niej dwóch najmłodszych braciszków, jak ptaszęta od czasu do czasu kwilące. Co chwilę któreś otwierało oczęta i znów zamykało je.
– Nie mogłam patrzeć jak cierpiały te niewinne dzieciny, a przy nich matka. Serce krajało mi się z bólu. Nikt do nas nie przychodził, oprócz doktora. Jedyną otuchą moją była modlitwa. Modliłam się zawsze gorąco, do Pana Jezusa, a szczególnie do Mateńki Najświętszej. Jej to opowiadałam swe troski, przed nią otwierałam swe serce. Ją prosiłam o opiekę nad nami, o zdrowie dla wszystkich, a najgoręcej prosiłam o przywrócenie zdrowia mamusi. Wciąż prawie modliłam się. Modliłam się w duchu, bo i z kimże miałam rozmawiać. Często zapominałam co się dzieje koło mnie i gdzie się znajduję, zdawało mi się, że jestem przy boku swej Matuchny Niebieskiej, która mnie pociesza i do serca swego jak matka tuli. a obudził mnie jęk mamusi, lub kwilenie któregoś z braciszków. Pocieszałam mamusię, starając się odpędzić wszystkie złe myśli od mamusi.

Lecz choroba przezwyciężyła mnie. Siódmego dnia przebudziłam się póź=
niej niż zwykle. Byłam pewna, że to tylko przemęczenie. Podniosłam
się, chcąc wstać, lecz naprózno. Siły mnie opuściły i opadłam na
poduszkę. Nie wiedziałam, że był u nas doktór, który w tej chwili
podszedł do mnie. Stwierdził, że jestem poważnie chora i jeszcze dziś
odeśle mnie do szpitala. Nie upłynęło półtory godziny, a przed
domem stanął wóz. Z wielkim wysiłkiem ubrałam się i zaczęłam
się żegnać z mamusią. — „Może już nie wrócę?" przebiegło mi przez
myśl. Prosiłam mamusię, żeby się nie martwiła. Starałam się
ją pocieszyć. Wszedł doktór. Przy jego pomocy wyszłam z domu.
Posadzili mnie na wozie. Na deskach rozprószona garstka siana.
Twardo. Oparłam się o drabinę i całą piersią wchłaniałam świeże
powietrze. Pod domami sąsiadów stała spora gromadka ludzi.
Przyglądali się, coś między sobą rozmawiając, ale nikt nie prze=
mówił do mnie życzliwego słowa. Każdy bał się, żeby się nie zara=
zić. Pod lasem dzieci zbierały białe zawilce. Nareszcie z mieszkania
wyszedł doktór i słyszałam jak powiedział do furmana, że naj=
młodszy braciszek skończył życie. Chciałam zejść i wrócić do do=
mu, lecz siły ~~mnie~~ mi nie pozwoliły. Woźnica podciął konie. Po dro=
dze stanęliśmy przed domem Sudzickich. Ich syna również
odsyłano do szpitala. Tu podeszła do mnie Irka M.

pożegnała się ze mną i dała mi książeczkę z ślicznym obrazkiem „Matki Boskiej Nieustającej Pomocy”. Minęliśmy już posiołek, jedziemy lasem. Wóz trzęsie okropnie. Droga cała z dużych kłód. Taką drogą trzeba jechać 30 kilometrów. Podróż męczyła mnie okropnie. Jechaliśmy 5 godzin. Słońce zachodziło, gdy przyjechaliśmy do szpitala. Na noszach wniesiono mnie do łazienki, wymyto i więcej nic nie pamiętam. Szóstego dnia przyszłam do przytomności. Leżałam na łóżku pod ścianą. W tej sali leżało jeszcze kilka osób (matki z dziećmi chorymi na odrę). Dowiedziałam się od „siostry” że moje siostrzyczki i bracia są już zdrowi i za parę dni pojadą do domu. Ucieszyłam się tą wiadomością. Prosiłam tylko Pana Boga, aby przywrócił zdrowie mamusi. Z każdym dniem czułam się lepiej. Jeszcze tydzień i pojadę do mamusi, dowiedziałam się od doktorki. Dłużyły mi się dni niezmiernie. Nareszcie przyszedł dzień w którym wróciłam do domu. W drodze spotkaliśmy komendanta, który powiedział mi, że dzisiaj ma się odbyć pogrzeb najmłodszego braciszka Edzia. Żal ogarnął mi serce. Zawsze pytał, gdzie poszedł tatuś, i kiedy przyjdzie?! Tęsknił za tatusiem bardzo i śmiał się rzadko. Mamusia opowiadała mi później, że gdy umierał schwycił obu rączkami rękę mamusi i tak odszedł do Bozi, którą jak zawsze mówił „bardzo kocham Bozię”. Gdy przyjechałam do

domu już go pochowano. Biedactwo... ani matka, ani siostra ni brat nie był przy nim w tej ostatniej chwili jego na ziemi. Na wieczny sen złożyli go obcy ludzie, lecz przecież Polacy. Wśród starych świerków, których pnie porosły mchem, spoczywało wiele już ofiar polskich, a wśród nich Edzio i Maniuś. Drzewa wciąż szumiały, jakgdyby śpiewały kołysankę i pocieszali tych, co spoczęli na tej, obcej im ziemi, która do swego łona tysiące przyjęła już ofiar. — Co jeszcze nas czeka! Pomyślałam. Boże, taka jest wola Twoja. Niech więc stanie się z nami co chcesz Panie, ale od Siebie nie odrzucaj opuszczonych sierot! Modliłam się.

— Mamusia wciąż jeszcze była chora. My przyszliśmy już wszyscy do zdrowia. Mamusia opowiadała mi o p. Rabianowej, która w czasie naszego pobytu pokryjomu przychodziła do mamusi, gotowała jeść i pielęgnowała chorych. — Za trud jej niech jej Pan Bóg wynagrodzi. Dni mijały. Pan Bóg próśb moich wysłuchał. Mamusia czuła się coraz lepiej. Kilka dni i była już zupełnie zdrowa. Pracowała znów w „jastach", a ja pomagałam nadal mamusi. Praca teraz była dla nas o wiele cięższa i męcząca, ponieważ choroba wyczerpała nas bardzo. Twarze nasze były blade, bez śladu prawie rumieńca, i opuściły nas dawne siły. Pomimo to musiałyśmy pracować.

Był już czerwiec. Wiosna była w całej swej pełni, tylko gdzie niegdzie w głębi lasu pod olbrzymimi pniami drzew leżało trochę zlodowaciałego śniegu. Poza tym wszędzie było zielono. Cała polana porośnięta była bujną trawą w której rosło pełno rozmaitych kwiatów. Na bardziej piaszczystych miejscach rosły poziomki, których dojrzałe owoce stanowiły pożywienie ludzi. Czerwo=nawe krzaki malin odbijały się jak piękny deseń na zielo=nym kobiercu. W lesie było jeszcze piękniej. Świerki przy=brały żywszą barwę, brzozy przybrały się w liście i bazki. Małe brzózki, chmiel dziki piął się po krzakach i w niektórych miejscach tworzył wprost ścianę, paproć przewyższająca wysoko=ścią człowieka, wysokie trawy różnego rodzaju, oraz piękne najrozmaitsze kwiaty. Stanowiło to wszystko podszycie lasu. Rozbudziły się teraz i ptaszki, lecz były nie takie jak w Polsce. Malutkie, było ich bardzo mało i śpiewały tak żałośnie, że gdy się słyszało ich śpiew, to jeszcze większy żal ogarniał człowieka niż zwykle. Tylko wron było pełno, ~~jadowi~~ złowrogo krzczących, a srok też nie brakowało. Chodząc po lesie, często zdarzało się, że spod nóg wyleci spłoszony głuszec, czy też stado kurek, cietrzew lub zając. Przebiegnie sarna lub usłyszysz ponury mruk niedźwiedzia. Rzadko spotykało się ~~lisa~~.

Ludzie zaczęli szykować ogrody. Karczowali pnie, skopywali ziemię i każdy starał się co mógł z ogrodowizny zasadzić. Ja również przy pomocy Dziadzi, Jaśki i Józia starałam się posadzić choć trochę kartofli i jarzyn. Wzięliśmy się do pracy.

— Podkopywaliśmy pnie i mniejsze podrąbawszy korzenie wywarzaliśmy, natomiast duże podpalaliśmy. Paliły się kilka dni, aż wreszcie prawie zupełnie spaliły się. Teraz trzeba skopać. Przy tym pomagała nam też mamusia. Choć nas wiele kosztowało pracy, ale mieliśmy prawie 320 m² czystego ogrodu. Za sukienkę mamusia wymieniła trochę kartofli, cebuli i innych nasion, które posadziliśmy. Za parę dni wszystko powschodziło i rosło bardzo szybko. Niemogliśmy się doczekać, kiedy wreszcie można będzie kopać młode kartofle. Dnie były coraz cieplejsze. Bagna, których w lesie było bardzo dużo zaczęły parować, wskutek czego ponad lasem unosiły się kłęby pary. Wszędzie było pełno komarów, a matką ich były również bagna. Ludziom pracującym w lesie, komary dawały się we znaki bardziej niż innym. O wiele gorsze były muszki. Dla ochrony przed komarami ludzie nosili siatki, smarowali się naftą, dziegciem, lub też palili papierosy. Przed muszkami nie było ochrony. Były one bardzo maleńkie, że nie można ich było dojrzeć w powietrzu. Chmury ich unosiły się w

powietrze, a natrafiwszy na człowieka, zasypywały oczy, nos, usta, dostawa=ły się we włosy i cięły niemiłosiernie. Nie pomagały: watowe spodnie, kufajka, nogi owinięte onucami, ani chustki na twarzy. Nic nie po=magało. Niewiadomo którędy dostawały się do ciała. Ludzie chodzi=li zapuchnięci. Na ciele tworzyły się rany, które ropiały się okrop=nie i później zlewały się w jeden strup. Bolało niemożliwie i zagoić było trudno. Każdy z naszych ludzi ledwie patrzał na oczy. Miejscowym ludziom, przyzwyczajonym do tego nie szkodziło nic. Z czasem i nasi ludzie przyzwyczaili się trochę i stali się odporniejsi na odmienny klimat tutejszy. Wszyscy czekali, kiedy wreszcie dojrzeją jagody i zaczną się grzyby. Zmniejszono normę chleba, wobec czego rozpoczął się na posiołku głód. Ludzie zaczę=li gotować brzozową korę, trawy różne, dzikie szczaw i skrzypy. Dzieci jadły niedojrzałe poziomki i ziarna szyszek. Na posioł=ku wybuchła epidemia brzusznego tyfusu. Ofiarą padłam i ja z siostrą Jadzią. Było to pod koniec czerwca. Pewnego wieczoru jak zwykle, wiele osób zebrało się u nas, na nabożeństwo czerwcowe. Śpiewaliśmy pieśni do Serca Jezusowego, gdy nagle zabolała mnie głowa i poczułam się bardzo źle. Zaraz się położyłam. Po pewnym czasie usnęłam, i przebudziłam się dopiero nazajutrz. Głowa bolała mnie okropnie. Przyszedł doktór, zbadał mnie, i odrazu

powiedział, że to napewno tyfus. Zmierzył temperaturę. Było 40°
Dał zastrzyk przepisał lekarstwo i odchodząc powiedział, że przyjdzie jutro. Z dniem każdym czułam się gorzej. Gorączka się wzmagała. Codziennie odwiedzał nas doktór. Widziałam, że szczerpiście współczół nam i rozumiał naszą niedolę, pomimo że był Rosjaninem. Pochodził z Ukrainy i 10 lat temu spotkał go podobny los do naszego. Wiele przeżył sam, wiele utracił, to też nic dziwnego, że doskonale rozumiał niedolę Polaków był zawsze wyrozumiały i szedł na rękę, za co często sam otrzymywał wymówki, spotykały go przykrości od komendanta.

Byłam tak słaba, że nie mogłam się podnieść o własnej sile. Dni wydawały mi się bez końca. Oprócz rodzeństwa i mamusi, która pielęgnowała nas. (Nas, bo w dwa dni po tym jak ja zachorowałam, zachorowała i Jadzia.) nie widziałam nikogo. Nikt do nas nie przychodził, i tylko mamusia czuwała nad nami. Nie chodziła do pracy, sprzedawała ostatnie rzeczy, ażeby tylko nam zdrowie przywrócić. Chcieli nas zabrać do szpitala, lecz mamusia nie pozwoliła. Słyszałam jak drżącym z żalu głosem mówiła do doktora. Straciłam męża, straciłam dwoje dzieci. Przy tych będę czuwała ile mi sił wystarczy, a do szpitala nie oddam. (Bo szczerpiście, że ze szpitala mało kto wracał zdrowy żywy. Mówiono,

że doktorom płacono, za pozbawienie życia każdego polaka).
Kochana Mateńka jak anioł czuwała przy nas dzień i noc.
Ja tymczasem czułam się coraz gorzej. Już drugi tydzień temperatura nie spadała i wciąż była 40°. Raziło mnie światło dzienne. Prawie wciąż leżałam z zamkniętymi oczyma, a myślami zawsze byłam tam, pod rodzinną strzechą w ojczystej ziemi. Często zdawało mi się, że jedziemy... pociąg pędzi poprzez pola i lasy... wreszcie jesteśmy w Białogórce, spotykam się z koleżankami i opowiadam im swoje przeżycia. To znów, że jestem w domu, widzę wszędzie opustoszenie, oglądam każdy kąt sprawdzam (każdy kąt) czego brakuje, po czym udaję się do „nołowy" komitetu i żądam zwrotu i wynagrodzenia za krzywdy.
Pewnego dnia przed wieczorem zdawało mi się że nad moim łóżkiem stoi Pan Jezus z otwartym Sercem i te słowa usłyszałam: „Jam ojcem waszym. Dziecię moje to o co mnie prosisz otrzymasz, bo ty mi ufasz i serce twoje kocha mnie". Jezusie! mój Panie i Ojcze!" krzyknęłam i rzuciłam się na twarz. Nagle otworzyłam oczy, coś zimne dotknęło mojej twarzy. Ujrzałam mamusię, klęczała przy moim łóżku i modliła się prawie półgłosem. Po twarzy jej spływały perliste łzy. Łzy mamusi bolały mnie bardzo. Wzięłam jej rękę przycisnęłam do ust i prosiłam, żeby się uspokoiła zapewniając, że się lepiej czuję.

W rzeczywistości zdawało mi się, że nadchodzi chwila ostatnia w mym życiu. Że za chwilę pożegnam ten świat i odejdę tam gdzie mój Tatuś. Z trudem otwierałam oczy, ażeby ten ostatni raz spojrzeć na najdroższe osoby. Stałam się obojętna na wszystko. „Mateńko!.. nie opuszczaj mnie" wyszeptałam. Zmorzył mnie sen. Choroba się przesilała. Kiedy się przebudziłam czułam się zupełnie bezsilna. Gorączka mnie opuściła, tylko byłam prawie bezwładna. Powoli zaczęło mi wracać zdrowie. Minęła epidemia. Coraz częściej zaczęli nas odwiedzać znajomi. Pewnej niedzieli przyszła do mnie Janka Kułakówna i przyniosła wesołą nowinę. „24 sierpnia wyjeżdżamy do Polski". Liczyłam dni. Były długie okropnie. Lato już miało się ku końcowi. Ludzie zbierali jagody, grzyby, szykowali opał na zimę. Kiedyż ja będę mogła chodzić i pójść do lasu nazbierać czernic czy też słodkich poziomek? Przy pomocy mamusi zaczęłam codziennie wychodzić na podwórze. Nogi uginały się podemną, siły mnie opuszczały. Co chwilę siadałam. Po kilku dniach zaczęłam chodzić, krok za krokiem, ale o własnych siłach. Chodziłam po ogrodzie, po polance koło domu i zbierałam poziomki, które jeszcze gdzieniegdzie ukryte pod liśćmi zatrzymały się, i były takie słodkie jak syrop. Upływały mi tak dni. Codzień byłam zdrowsza i silniejsza. Jeszcze kilka dni i będę zupeł-

nie zdrowa. Jesień była cudna. Dni były pogodne, słoneczne, rzadko zdarzały się burze, którym zwykle towarzyszyły grzmoty i pioruny i padał deszcz. Przy wschodzie słońca las cały jakgdyby był spowity w szatę purpurową, która zmieniała się w różowawą powłokę i wreszcie ginęła. Słońce złotą tarczą wypłynęło na niebo. Wszystko co żywe roskoszowało się w jego ożywczych promieniach. Różnobarwne motyle unosiły się w powietrzu. W powietrzu migały tysiące barw. Wśród prawie czarnych świerków gęsto przetykanych potężnymi brzozami o złoto-rdzawych liściach. Brązowe topole, oraz tu i ówdzie czerwony klon, ~~(lub)~~ dzikie wino, lub chmiel. Jarzębina przystrojona w czerwone korale piękna jak wiejskie dziewczę z Podola, zwracała na siebie uwagę każdego przechodnia. Leśne dzwonki podnosiły swe liljowe główki ku górze. Gdzie niegdzie stał pozbawiony życia, suchostój, na którym zawsze siedziało kilka dzięciołów, a który był jakby ich magazynem żywnościowym, bo pod korą żyła mnóstwo robaków. Rzeka tęczy przepływająca płynęła wolno, a w zielonkawych jej wodach roskosznie igrały promienie słoneczne. Przy zachodzie słońca, las i cały świat kąpał się w złotych falach, dopóki nie zaszło zupełnie. Wówczas nawet przyroda układała się do snu, ażeby rankiem znów obudzić się i cieszyć się życiem dopóki jeszcze czas. Dopóki się da. — „Gdyby to było w Polsce", pomyślałam, i łzy zastąpiły mi oczy.



Pewnego pięknego poranku, wraz z kilkoma koleżankami wybrałyśmy się na Kamionkę po maliny. Choć było daleko, ale malin było tam bardzo dużo, w dodatku były duże i słodkie. Jakością swą przewyższały ogrodowe. Nieraz słyszałyśmy o niebezpieczeństwie jakie tam mogło grozić, lecz nie przekonane osobiście, nie przypuszczałyśmy, że rzeczywiście coś podobnego może nas spotkać. Szłyśmy pospiesznie, opowiadając sobie, kto ile już przyszykował na zbliżającą się zimę: grzybów, klukwy (żurawina), borówek, suszonych czernic i powideł, te oczywiście bez cukru. Na ten temat nie chciałam wogóle mówić, bo w mnie było najmniej. Ciągłe choroby, więc któż miał robić zapasy. Nie oglądnęłyśmy się nawet, a już byłyśmy u celu. Oczy nasze uśmiechały się zadowoleniem, na widok dużej ilości ślicznych malinek. Łodygi wysokością swą często przewyższały człowieka, a pod ciężarem owoców uginały się ku ziemi. Wygłodniałe, rzuciłyśmy się na maliny i poczęłyśmy szybko zbierać najpierw do ust. Gdy już najadłyśmy się, wówczas zaczęłyśmy zbierać do naczyń, a każda z nas oprócz wiadra miała koszyk. Bo iść daleko, to przynajmniej nie darmo i nazbierać tyle, ile się da unieść. Zbierałyśmy na wyścigi.

Która więcej i prędzej? — „Ja już mam pół wiadra!" krzyknęłam zadowolona, że mi tak szybko idzie, bo zbierałyśmy dopiero niecałą godzinę. — „A ja mam więcej niż pół" powiedziała zbierająca tuż obok mnie Ola Ł. — „Ja to mam już prawie pełno" oderwała się Aniela G., która zbierała nieco dalej, i robiło to nadzwyczaj szybko. — „Jak skończę to ci Elżuniu pomogę" powiedziała. Tak zbierałyśmy, uprzyjemniając sobie pracę przyśpiewkami i co chwila co chwila nawoływałyśmy u-u-u-hu, które dźwięcznym echem rozlegało się po lesie i zaraz słychać było kilka równoczesnych głosów odpowiedzi, że są i nie zbłądzili. Wtem od strony rzeki przepływającej niedaleko, dał się słyszeć szczęk, łamanie gałęzi i jakgdyby kroki. Hukęłam na zbierających i wnet byłyśmy razem. Naczynia były już prawie pełne malin. — „Czy słyszałyście chrzęst i łamanie gałęzi"? —„Tak, ale to napewno ktoś tak jak i my zbiera maliny", odpowiedziało mi kilka głosów. „Więc napełniajmy naczynia szybko i wracajmy do domu, bo już słońce spory kawałek skręciło z południa." Aniela już nazbierała pełno i teraz pomaga mnie. Jeszcze parę minut - i będzie pełno. „ — Tylko dziewczynki, nie

odchódźcie od nas daleko" dodałam i wzięłyśmy się do pracy, żeby już wreszcie narbierać. Bo jakże z niepełnym wiadrem wracać do domu. Wstyd. Wtem znów dało się słyszeć łamanie gałęzi i coraz bliższe kroki i niby pomruk. Ogarnął nas tym razem lęk. Zawołałam wszystkich.
— „Ja się trochę boję" powiedziałam do Anieli. „Ten łoskot jest niezwykły". Chodźmy już do domu". „Ale wpierw chodźmy się napić wody" odrzekła mi. Niedaleko przepływała niedużа wprawdzie rzeczka Wiszera. Poszłyśmy więc we dwie, reszta pozostała czekając na nas. Nie doszłyśmy jeszcze do rzeki płynącej w dolinie, gdy usłyszałyśmy tuż niedaleko wyraźne warczenie. — „Niedźwiedź" krzyknęła Aniela przestraszona. „O tam! Patrz! Lezie pod górę ku nam." Rzeczywiście, ujrzałam olbrzymie cielsko niedźwiedzia. Brunatne jego futro, trudno było rozpoznać między pniami drzew i wśród gąszczu o barwie również prawie brunatnej. W pierwszej chwili nie wiedziałam co mam robić. Usiadłam na ziemi, gdyż zrobiło mi się zimno ze strachu, i słabo i wyraźnie czułam, że jestem blada jak trup. Co zresztą powiedziała Aniela. Wkrótce jednak zerwałam się na równe nogi i obie poczęłyśmy biec w kierunku

gokie porosłało reszta. — „Uciekajmy, niedźwiedź!”, krzyknęłam. Wiadra były ciężkie, więc je zostawiłyśmy. Wzięłyśmy koszyki, i co tchu i siły w nogach poczęłyśmy uciekać. Od domu dzieliło nas około 16 kilometrów. Biegłyśmy tak bez przystanku dopóki nie znalazłyśmy się na wyrębie. Tu odpoczęłyśmy. Całą piersią wchłaniałam powietrze. Zapomniałam nawet o zmęczeniu, byleby jak najdalej od niedźwiedzia, a jak najprędzej być w domu. Po chwili odpoczynku ruszyłyśmy, tym razem już wolniej. Spojrzałam do koszyka. Było nieco więcej niż pół. Rozsypały się, jak biegłyśmy, ale to nic. Chwała Bogu, że wyszłyśmy cało. Zachodziło już słońce. Lekki powiew wiatru przelatywał pośród gałęzi, które monotonnie szumiały niby kołysankę do snu. Ciemno już zupełnie. No, ale nareszcie jesteśmy w domu. Chwała Bogu! „Dobranoc”! rozległo się „tylko pamiętajcie jutro pójdziemy po wiadra”. Rozeszłyśmy się każda do swego domu. Wszedłszy do mieszkania przywitałam się z mamusią, całując jej rękę. Niecierpliwie oczekiwała mnie obawiając się, aby mi się coś złego w drodze nie przydarzyło. Opowiedziałam natychmiast o przygodzie jaka nas spotkała. Szkoda tylko wiadra powiedziałam.

Nazajutrz nie mówiąc o niczym mamusi poszłyśmy z panią S. po wiadra. Znalazłyśmy wszystkie na miejscu, tylko jedno było przewrócone. Pozbierałyśmy maliny z ziemi, pomogłyśmy narwać do pełna, i z pełnymi wróciłyśmy około godziny trzeciej po południu do domu. Tym razem nie widziałyśmy w lesie nikogo i nawet nie było słychać w pobliżu. Widocznie niedźwiedź tylko tędy przechodził, bo w kilka dni potem dowiedziałyśmy się, że koło Kamionki niedźwiedź rozszarpał 2 konie, które się tam pasły. Postanowiłam więcej nie chodzić na tak dalekie wyprawy. Ale tak się tylko mówi gdy się wyrwie ze szpon niebezpieczeństwa, a postanowienie wnet się zmienia.



Upływały piękne dni jesienne, a z nimi nadzieja o wolności.
Dni były coraz krótsze i chłodniejsze, aż wreszcie spadł niespo=
dziewany śnieg. Był to jeszcze wrzesień. Śnieg padał bez przer=
wy i wzmagał się mróz. Zapowiadało się na srogą zimę, a
u nas zaledwie parę kubometrów drzewa przygotowanego. Bo
i któż miał przygotować. Gdyby nie długa choroba napew=
no byłoby inaczej. — Ale przecież Pan Bóg czuwa nad na=
mi. Płoty ogradzające każde podwórze, które miały 2 metry
były już zupełnie przykryte śniegiem i tylko tu i ówdzie widać
było ciemniejsze linie, którymi rysowały się ścieżki. Praca
w lesie nie ustawała, a oprócz tego zmuszano Polaków do uczenia
się języka ruskiego. Nie pomagał opór ani żadne tłumaczenia.
Kto się na to nie zgodził, groziła dość surowa kara, a oprócz tego
ciągano po kantorę do komendantury i t. d. Więc i młodzież
i dzieci a nawet starsi, wszyscy chodzili do t. zw. szkoły. Nauka
odbywała się po skończonej pracy, o godzinie od 8ej — 11-ej lub 12ej
w nocy. Uczyła nas t. Józia Goroszkiewicz, która mówiła, że jest
Polką, czemu nie bardzo wierzyliśmy. Często były takie ostre poga=
danki na temat ustroju państwa, że później samiżeśmy żało=
wali, gdyż nieraz rezultatem ich było wezwanie do komen
dantury. Umówiwszy się zeznanie zdawaliśmy wszyscy jedna=

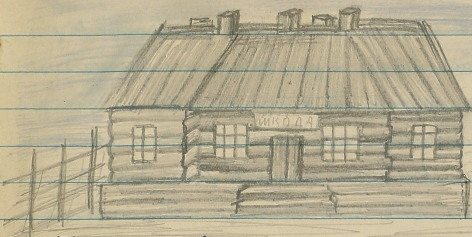
kowo, lub udawaliśmy, że nic nie wiemy, czy też milczenie było całą odpowiedzią. Często zdarzały się hałasy i dość długie procesy, gdy jakiemuś komuniście na gazecie czy książce wydłubano oczy. Lecz winowajcy nigdy nie znaleźli, co nam bardzo imponowało. Wprawdzie co się umie, to się na plecach nie nosi, ale oni starali się wpoić, a szczególnie w młodzież zasady komunizmu, co im się pod żadnym względem nie udawało. Na to byli za słabi. Z nami zawsze — Bóg i Ojczyzna!

Nauka jak nauka, ale powrót do domu był okropny. Pomimo że było blisko, bardzo często błądziliśmy. Ciemne noce były powodem błądzeń. Bardzo łatwo było zejść z właściwej ścieżki, a wtedy co chwilę wpadało się po pachy w śnieg i wiele trudu kosztowało wydostanie się znów na ścieżkę. W niektórych miejscach śnieg był twardy i śmiało można było iść, w innych wpadało się jak w puch. Mrozy się wzmagały i dochodziły do 40°. Pewnego razu wracałyśmy z Lodzią Nadworną z lekcji. Noc była wyjątkowo cicha i trzymał silny mróz. Śnieg przy blasku księżyca lśnił. I zdawało się że na ziemi świecą tysiące gwiazdek. Dochodziłyśmy już prawie do domu, gdy usłyszałyśmy jakiś jęk, lecz zdawało się nam, że tak nam się zdawało i rozeszłyśmy się do swoich domów. Już byłam na schodach i znów usłyszałam jęki. — „Ludzie ratujcie" dobiegł mych

mu schrypły głos. - Napewno pan Jordański - przebiegło mi przez myśl. Szybko wbiegłam do mieszkania i zaświeciłam kopciuszek. Wszyscy już spali. Zbudziłam Jadzię, która natychmiast wstała i ubrała się. Wybiegłyśmy z mieszkania i udałyśmy się w stronę, skąd dochodził jęk. Rzeczywiście, był to pan Jordański. Był to prawdziwy Polak, ojczyznę swą kochał nadewszystko i zawsze był żołnierzem. Człowiek o podeszłym już wieku, w dodatku chory na serce, często upadał na zdrowiu i nie mógł pracować. Często chodził po posiołku, a Polacy wspierali go czym kto mógł. Był już tak słaby, że sam ledwie chodził. Teraz wracając do domu upadł w śnieg i nie mógł się sam podnieść. Ja z Jadzią pomogłyśmy mu wstać. Podziękował nam i powiedział, że pójdzie sam. Nie zdążyłyśmy dobiedz do domu i znów upadł. Wróciłyśmy spowrotem do niego i tym razem nie mogłyśmy mu dać rady. Zaczęłyśmy wołać do pomocy starszych, lecz p. Magola i Nadwodny odpowiedzieli nam, że są zmęczeni i wcale nie myślą wstawać. Tymczasem zbiegło się kilku chłopców i przy ich pomocy zdołaliśmy go podnieść. Był okropnie ciężki. Podprowadziłyśmy go jeszcze parę kroków. Co chwilę ktoś z nasześlizgnął wszy się ze ścieżki grzązł w śniegu. I znów upadł.

twarzą w śnieg i począł charczeć. Ogarnął nas strach. — Co teraz zrobimy"? — „Ty biegnij po doktora, a ja przyciągnę saunki"! powiedział jeden z chłopców. Pobiegłam co tchu. Na nieszczęście ani doktora ani komendanta nie było w domu. Przyszłam spowrotem na miejsce gdzie leżał prawie konający człowiek. Teraz było już tu kilku węgrzynów, których sumienie nie pozwoliło być obojętnymi dłużej, radzili między sobą co zrobić. Pomogliśmy jeszcze włożyć p. Jordańskiego na sanki. Był zupełnie bezwładny i nieprzytomny. Słyszałam jeszcze jak wyszeptał: — „Kochani rodacy, ratujcie mi życie! Ja chcę do Polski — — — i umilkł. Obie z Jadzią wróciłyśmy do domu, a węgrzyni odwieźli go do kantory. Tam przy ciepłym piecu do dnia następnego zakończył życie. Rodacy pochowali go z uszanowaniem i czcią. Na mogile postawili krzyż z tabliczką — Tu spoczywa wierny syn Polski — Niech obca ziemia będzie mu lekką, a Bóg szczęśliwy spoczynek dać raczy. Na tym cmentarzu leżało już wiele osób, a nad ich mogiłami rosły płaczące brzozy i stare sosny i świerki śpiewające odwieczną pieśń umarłym.

Zima wzmagała się. Przez kilka dni było już 58° mrozu. Powietrze było tak gęste, że nie można było na dworze oddychać. W oknach szyby pękały, a w mieszkaniu zamar-




zała woda. W dnie cieplejsze ja z Józiem chodziliśmy do lasu, spuszczałyśmy suchą brzozę lub świerk i powinięte i po=rąbane zwoziliśmy saneczkami do domu, lub nosiliśmy na ple=cach. Nogi uginały się pod ciężarem. Ręce i nogi pomimo pracy kostniały z zimna. Pomimo trudu mieliśmy to zadowole=nie, że mamusia wróci z pracy do ciepłego mieszkania i młod=sze rodzeństwo nie będzie szczękało ząbkami z zimna. Łapaliśmy na sidła ptaszki i wrony, które ugotowane były wielkim przysmakiem. I tak upływały dni, i zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Ile radości przynosiły one dzieciom w Polsce. Teraz nikt z nas się tym nie cieszył, bo przecież wiedzieliśmy, że będą one pełne smutku i łez. Przyszedł dzień wigilijny. Naznosiliśmy drzewa na cały tydzień, po czym przy pomocy rodzeństwa zabrałam się do sprzątania. Pobieliłam płytę, podłogę porządnie wymyłam chlorkiem, i ściany przybrałam gałązkami świerków.

Czubek z dużego świerka na którym było bardzo dużo szyszek postawiłyśmy w kącie mieszkania i przybrałyśmy papierem i watą. Miało nam to drzewko przypominać cudną choinkę w Polsce.
Po skończonej pracy usiadłam na chwilę przy oknie, aby odpocząć. Na duszy było mi tak ciężko, i ogarnął mnie żal i tęsknota. W domu panuje cisza, której nikt nie mąci. Mamusia nie krząta się przy przyrządzaniu wieczerzy jak niegdyś, i nawet z pracy jeszcze nie wróciła. Jesteśmy tak daleko od ojczyzny i nie mamy nikogo z bliskich osób. Nema i Tatusia. Tyle przeżyliśmy już nieszczęść, i nie wiemy co nas jeszcze czeka. Ludzimy się tylko nadzieją. — Młodsze rodzeństwo półgłosem prowadzi dyskusję, czy też aniołek przyjdzie tak daleko z prezentami.
— „Z Polski tutaj jest tak daleko i aniołek nie trafi" powiedział Rysio i łzki zakręciły mu w oczkach. Biedactwo ... ja również nie mogłam się powstrzymać od łez i odwróciwszy twarz bardziej ku oknu tłumiłam w sobie ból.

Na niebie ukazała się pierwsza gwiazda, a z nią biedzą się różne wspomnienia z ubiegłych lat. Nie zauważyłam nawet jak do mieszkania weszła mamusia. Zdjęła palto i zmęczona całodzienną pracą usiadła przy piecu. W mieszkaniu było ciepło jak nigdy przedtem. Choć tym chciałam uprzyjem-

nić ten święty wieczór. Rodzeństwo natychmiast otoczyło mamusię i poczęło zasypywać ją licznymi pytaniami. Gotując kolację widziałam, jak wstrzymując łzy starała się odpowiedzieć na każde z nich. Przyszykowałam kolację, białym prześcieradłem przykryłam stół, ażeby choć trochę przypominał ten stół wigilijny pod rodzinną strzechą. Miski z posiłkiem postawiłam na stole, i wraz z mamusią zasiedliśmy wszyscy do stołu. Odmówiliśmy wspólnie modlitwę, potem zaczęliśmy się łamać opłatkiem. Nikt z nas nie mógł przemówić słowa. Coś w gardle dławiło. W oczach wszystkich błyszczały łzy i jak rzęsisty deszcz spływały po bladych policzkach. Bo i któż, oprócz Ciebie o Boże rozumie niedolę naszą i ból naszych serc... Niema wśród nas Tatusia, i już nigdy nie będzie on z nami zasiadał do stołu. Życie swe oddał w ofierze Ojczyźnie, na straży jej granic. Nie słychać szczebiotu najmłodszych dwóch braciszków. Zmarli, nie wytrzymali ciężkich chwil niedoli.

Chwilę trwało milczenie, po czym spragnieni posiłku, zasiedliśmy do wieczerzy, którą zjedliśmy bardzo szybko. Oprócz rzadkiej owsianej zupy nie było nic więcej. Chleb którego był tylko mały kawałek, trzeba było zostawić na jutro do pracy, gdyż zarobek mamusi i mój był tak mały, że nie

wystarczał, żeby wykupić codzienną porcję chleba. Starając się oddalić smutek i żal pocieszaliśmy się nadzieją i słowami które pełne dobrej nadziei otrzymałam przed paru dniami od Danusi Siwiarskiej. Od niej też otrzymaliśmy opłatek. Płomień nadziei nigdy nie wygasał w duszy mojej i chodźby iskierką tlił się w niej wciąż. Pocieszałam mamusię słowami na jakie tylko mogłam się zdobyć. Zdławionym głosem odśpiewaliśmy kilka kolęd. Płynęły one głosem błagalnym do tronu Wszechmocnego i do żłóbka Bożej Dzieciny. Następnie udaliśmy się na spoczynek. Długo nie mogłam zasnąć. Teraz nikt oprócz Jezuska i Jego Mat- eńki mnie nie widział więc mogłam gorycz swej duszy wylać. Łzy gorące spływały mi bez ustanku z óczu, Poczułam, że poduszka była mokra. W duchu prosiłam Pana Boga, aby dał nam sił do przetrwania tych ciężkich chwil niedoli i dozwolił wrócić do kraju. Tak modląc się niewiem jak długo, usnęłam.

Już od trzech tygodni pracowałam w jasłach. W dzień Bożego Narodzenia jeszcze było zupełnie ciemno, a już po domach chodził komendant z zastępcą i wszystkich wypędzili do roboty w lesie. Próbowaliśmy protestować, lecz widząc, że nic nie pomaga wzięliśmy siekiery i piły, poszliśmy niby na robotę. Przez całą drogę wszyscy szli w zadumie i tylko od czasu do czasu

dał się słyszeć ochrypły głos starszego mężczyzny, który co chwilę upewniał się czy nie błądzimy, bo jeszcze było w lesie ciemno. Przyszliśmy na miejsce, gdzie mieliśmy pracować. Rozpaliliśmy ognisko i wszyscy usiedliśmy wokół niego. Jak pastuszkowie dążący do Jezuska, tak my zmarznięci rozgrzewaliśmy się przy ognisku, zdala od ojczyzny i kościoła; pomimo wszystko całą duszą byliśmy w niej. Pomodliliśmy się wspólnie pacierz, śpiewaliśmy kolędy dorzucając co chwilę drzewa w ognisko. Rozmawialiśmy o różnych tematach, lecz wszystkie łączyły się ze świętami Bożego Narodzenia w Polsce. Aleby słychać było, że pracujemy parę osób na zmianę uderzało siekierami o kłodę, a stuk powtarzał się echem. — Jak postanowiliśmy tak uczyniliśmy. — W tym dniu tak świętym, dla nas, Polaków Katolików nie pracowaliśmy zupełnie. Nadszedł wreszcie tak oczekiwany wieczór i wróciliśmy do domu. Szczęśliwszym od Bożego Narodzenia był Nowy Rok. Silny mróz 55° spowodował, że nikt nie pracował w tym dniu. Zima była coraz sroższa. Coraz cięższe wiatry którym towarzyszyły śnieżyce dawały się ludziom we znaki.

Przyszedł i luty. Było to drugiego lutego. Wieczorem poszłam do stołówki po owsiankę na kolację. I tu spotkała mnie, a zarazem całą naszą rodzinę wielka niespodzianka.

„Pawlicka! Maria Pawlicka!" – powtórzył listonosz. „Macie list!" Nie wierzyłam. Kurczowo chwyciłam list i poczęłam patrzeć od kogo przyszedł. „Ach od stryjka Adasia!" – krzyknęłam, a jednocześnie biłam się z myślami, bo skądże stryjek mógł wiedzieć, że my się tu znajdujemy. Rozerwałam kopertę i szybko pobiegłam do mamusi. Rzeczywiście był to list od stryjka Adasia Kaczmarskiego. Do głębi serca byłyśmy wzruszone. On o nas nie zapomniał. Długo nas szukał, aż wreszcie znalazł. Nasz adres otrzymał od swej siostry, która była w Archangielskiej obłaści również wywieziona. Tam był nasz sąsiad p. Zorow z osady i pewnego razu przypadkowo dowiedział się że to nasza rodzina. Adres nasz znał i podał go cioci Zosi, która posłała stryjkowi. Wówczas to on zaczął do nas pisać. Radość panowała wśród nas, bo przecież jest ktoś, kto o nas pamiętał. Kochany stryjek. Powiedział, że dopóki będzie żył i mógł, dopóty nam zawsze będzie pomagał. Na wiosnę otrzymaliśmy dwie posyłki i trochę pieniędzy. Było to dla nas wielką pomocą. Jakoś raźniej było nam na duszy. W serca na nowo wstąpiła niezłomna wiara w wolność i nadzieja. Dziękowaliśmy Panu Bogu, za to i prosiliśmy o jedno. „Boże daj wytrwać i wrócić do kraju."

Przyszła wiosna. Śniegi już prawie stopniały, ale dni były jeszcze bardzo zimne. Wypędzono nas na korczunek 1. m. Olbrzymie drzewa wywalałyśmy z korzeniami. To wszystko się spalało, a ziemię kopano lub orano.

Brygada nasza składała się z pięciu osób. Ja, Hela Szydłowska, Marysia Bulka, Irka Musialik i Janka Kołacz. Na robotę szłyśmy zawsze razem. Niosłyśmy ze sobą, każda butelkę czarnej gorzkiej kawy i kawałek chleba. Piły i siekiery zostawały w lesie, gdyż nosić je codziennie taki kawał, nie sprawiało wcale przyjemności. Ciężka to była praca okrutnie, ale co zrobić; ~~byłyśmy~~ w niewoli i co nam kazano musiałyśmy robić. Najpierw łopatami odkopałyśmy ziemię koło wszystkich korzeni. Miały one nieraz parę metrów długości i były takie grube, jak dyszel przy kieracie, a nieraz grubsze. W odległości mniej więcej pół metra od pnia piłą przerzynałyśmy korzenie, potem podrąbywałyśmy je, a w końcu pchałyśmy wszystkie pień i drzewo wolno, z chrzęstem i łoskotem łamiących się gałęzi spadało na ziemię ku naszemu zadowoleniu. Przy zwalaniu świerków lub iwy, które to bardzo twarde mają korzenie i prawie pionowo wdół, że ani podrąbanie, ani podważnięcie ich jest niemożliwe, robiłyśmy w ten sposób. Jedna z nas wyłaziła

prawie na sam czubek i chwiało całym drzewem, jedno pchała pień, a reszta ciągnęła za gałęzie. I w ten sposób drzewo spadało powoli, tak że nigdy żadnego wypadku nie było. Później porznięte drzewo rzucałyśmy na stosy i spalałyśmy. Wprawdzie zielone, świeże drzewo nie chciało się palić, ale musiałyśmy dopóty palić, dopóki się zupełnie nie spaliły. Inaczej nie przyjęto roboty. Od wykorczowanego 1 m² płacono 4 kopiejki. Przy zdawaniu pracy oszukiwałyśmy dziesiętnika jak mogłyśmy i zawsze się nam udawało. Naczelnik korczunku Żarkij zawsze mi wierzył, bo kiedy przychodził sprawdzać pracę, udawałam, że rzeczywiście pracuję z zapałem. W rzeczywistości robiłam tak, żeby nie napracować się bo przecież i siły nie miałam, a dobrze zarobić. Z końcem maja, a początkiem czerwca zaczęłyśmy na tym korczunku sadzić kartofle dla Bum-Kombinatu. Mamy był przy tym zarobek ale przynajmniej nieraz napiekło się kartofli w lesie na ognisku, a często udało się i do domu przynieść. Każda, oczywiście pokryjomu, napychała pełno kartofli za spodnie, cholewy, za pazuchę i rękawy i tak obładowana wychodziła do lasu niby załatwić się. Tam w zaznaczonym miejscu zakopywała kartofle do ziemi. W powrotnej drodze do domu zabierała je

i przez las unikając spotkania się z kimkolwiek przynosiło się je do domu. Jeżeli jeszcze gdzie dogorywał stos drzewa, to w ten żar narzucałyśmy tyle kartofli, aby nam przynajmniej na obiad wystarczyło. Z niecierpliwością czekałyśmy południa. Gdy przyszło, wszystkie chowałyśmy się w miejsce gdzieby nas nikt dostrzec nie mógł, i tam raczyłyśmy się gorącymi, pysznymi kartofelkami. Lecz to się prędko skończyło. Już wszystkie kartofle posadziłyśmy. Te rośliny je pierwsze posadziły, już powschodziły, i trzeba je było szarować. Szalona była przy tym norma. Za 2500 m² płacono 4,5 rubla. Przy tym chwast był trochę niżej kolan. Spoczątku męczyłyśmy się okrutnie; bolały nas krzyże, bo jakże można cały dzień chodzić zgiętą sapać i w dodatku zbierać chwast. Taką pracą daleko byśmy nie ujechały. Prędko nauczyłyśmy się robić po kołchozowemu. Chwast zbijałyśmy jak to się mówi po łebkach i wprost biegałyśmy po polu. W ten sposób wyrabiałyśmy normę, ku wielkiemu zadowoleniu dziesiętnika i naczelnika. Tymczasem chwast rósł, i wystarczyło aby lekka rosa podniosła zdeptany chwast. Na jednym miejscu pracowałyśmy kilka razy. Trzeba było tą pracę zostawić, bo trawa była już duża, i trzeba było oczyścić sianokos. Robiło się to co rok. Latem drzewo z lasu zrzucało

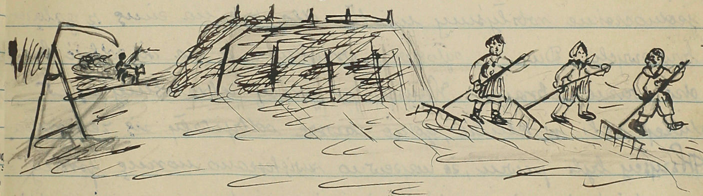
się na łąki, natomiast na wiosnę z łąk do lasu. — Ale poco nam o tym więcej mówić. Wszyscy wiemy doskonale, że w tym państwie wszędzie jest taki porządek. Skończyły się już wszystkie prace i wszyscy ludzie pójdą na sianokos i my też. Radziłyśmy co z tym fantem zrobić, gdyż żadna z naszych dziewczynek nie miała zielonego pojęcia o tym jak się kosi. Następnego dnia dano nam kosy i pierwszy dzień wszyscy poszliśmy kosić nad Wierzajką. Droga prowadziła po zwalonych pniach drzew przez bagna. Dla bezpieczeństwa kosy przymocowaliśmy przy drzewcu i podpierając się szliśmy nierbyt szybko. Dotarliś=my wreszcie do rzeki Wierzajki, która nam przecinała drogę. Musieliśmy ją przejść wbród. Zdjąwszy obuwie przerzuciliśmy je na drugą stronę, sami wziąwszy się pod ręce szliśmy, bo prąd rzeki był bardzo bystry i woda bardzo zimna. Nareszcie przyszliśmy na miejsce. Trawa w wysokość człowieka, wśród niej moc krzaków. Zaczęliśmy kosić. Z początku szło nam niesporo, ale już pod wieczór kosiłyśmy zupełnie dobrze. Na drugi dzień byłyśmy na tym samym miejscu. Komary cięły niemiłosiernie. Pomiędzy krzakami kosić było bardzo ciężko. Naczelnik powiedział nam, że już więcej tu nie przyjdziemy. Ucieszyłyśmy się, bo myślałyśmy, że koniec

już z sianokosem. Grubo źeśmy się omyliły. Naczelnik kazał nam wziąć z domu naczynia na gotowanie jedzenia. Następnego dnia 16 osób t.j.: ja, Hela Sz. Irka M. Michasia M. Marysia B. Hela Z. 7 pań starszych i jeden mężczyzna brygadier, p. Rabiarz. Odprawiono nas na sianokos 18 km od Pszczanki, na Ciurocznę. Szłyśmy długo. Droga wiodła przez las ciągle pod górę. Żwir i kamienie kaleczyły nogi. Nareszcie doszłyśmy. Na szczycie prawie samym rozlegała się olbrzymia (skała) polana cała zielona i jak kobierzec przetykana kwiatami. Od strony zachodniej piętrzyła się olbrzymia skała granitowa. Na tej skale było wyryta tablica z francuskim napisem i 1815 rok. Naprzeciw widniały olbrzymie góry Burkoczyny. Wokół widać było na kilkaset kilometrów. Wszędzie gdzie okiem sięgnąć czerniał las i tylko gdzie niegdzie jak plamki widać było niewielkie zabudowane polanki. Stąd doskonale było widać Krasnowiszersk, Czerdyń, Solikamsk i inne mniejsze miasteczka. Kamień z tych skał był biały i tak twardy, że krajał szkło. Na polanie przy jej skraju tuż pod lasem była maleńka chatka w której mieliśmy mieszkać. Jedne drzwi, trzy maleńkie okienka i po obu bokach jednolite prycze

stanowiły całość. Zaraz porobiłyśmy sobie piecyki tuż koło chatki, na dworze, gdzie później gotowałyśmy sobie jeść.

Wstawałyśmy raniutko, po myciu i modlitwie, gotowałyśmy śniadanie. Zjadałyśmy szybko i gdy wschodziło słońce, już kosiliśmy. Kosiliśmy razem ze starszymi i prawie zupełnie dorównywałyśmy im. Dni upływały nam po brzegi wypełnione trudem. Spałyśmy w chatce (izbuszka) na pryczach tuż jedna obok drugiej. Często w nocy przez dziurę w oknie wpadała wiewiórka, lecz nigdy nie udało się nam jej złapać. W las daleko nigdy nie chodziłyśmy, bo łatwo można (się) było tu spotkać niedźwiedzia. Często chcąc nastraszyć dziesiętnika chowałyśmy się w krzakach bab pod pryczę. Gdy dziesiętnik zauważył że parę osób brakuje, a od nikogo nie dowiedział się gdzie są, szukał, złościł się i jednocześnie bał się aż mu się spodnie trzęsły. Komendant przykazał mu pilnować nas jak własnego oka w głowie, ażeby która z nas nie uciekła. Za to groziłaby mu kara więzienia. W drugą sobotę naszego pobytu na Ćwirocznej ja i Marysia Bulka zwiałyśmy do domu, na Pierczankę. Wprawdzie nam się trochę oberwało, ale my już do tego przyzwyczaiłyśmy się - Zadowolone byłyśmy, że postanowiłyśmy na

swoim. Dziesiętnik oberwał porządnie i drugi raz już się nam nie udało zrobić „wychodnoj" na Piszczance. W przeciągu dwóch tygodni wszystko siano było skoszone, zgrabione, wysuszone i złożone w tomy. I tu oszukali nas porządnie.



Niech się najedzą cudzą pracą, a łzami napiją. Po dwóch tygodniach wróciłyśmy na Piszczankę. Tu były już poziomki, zaczynały się czernice i maliny. Las cały pachniał życiem, śpiewały tutejsze ptaszyny, stukał dzięcioł w spróchniałe pnie drzew, a echo rozlegało się po lesie. Tęsknota za ukochaną Ojczyzną, za rodzinną strzechą, za tym pięknym sadem, za najbliższymi; często rańiąc mi duszę pogrążała mnie w głębokiej zadumie i nieraz stałam tak dłuższą chwilę, aż mię ktoś z tej zadumy rozbudził. Wciąż widziałam gruzy naszego domu, połamane drzewa i smutną opuszczoną mogiłę Tatusia, wśród płaczących brzóz na cmentarzu w Białozórce.

Zbliżała się jesień i zaczęły się prace dla tej pory właściwe. Kosiłyśmy, grabiły i składały groch. Wyrywały marchew i rzepę, tylko dwa dni, bo bali się, żebyśmy czasem wszystkiej nie zjedli. Później karczowałyśmy młody las brzozowy, jednocześnie robiłyśmy miotły dla kóz na zimę z gałązek brzozowych. Dn    ogłoszono wszystkim, że ma się odbyć bardzo ważne zebranie. Wszyscy po pracy zebraliśmy się w dużej sali w klubie, gdzie zawsze odbywały się zebrania. Wszyscy byli pewni, że napewno zwiększono normę pracy na dzieci i może przyjdzie się znów na krasnę armię poświęcić parę dni pracy, co się bardzo często zdarzało. Na scenie za stołem zasłanym jak zwykle czerwonym materiałem siedział tylko komendant i jego sekretarz. Po chwili komendant wstał i spuściwszy w dół oczy począł mówić. „Wy wolnyje polskije grażdanie. Rodina wasza objazatielno budiet swabodnaja i wy do niej wiernuotieś" — mówił jeszcze coś o wojsku, a potem okrzyk „Pust' żywiot swabodnaja Polsza." — Wszyscy krzyknęli z całej piersi jak kto mógł najgłośniej, trzy-krotnie „Niech żyje".

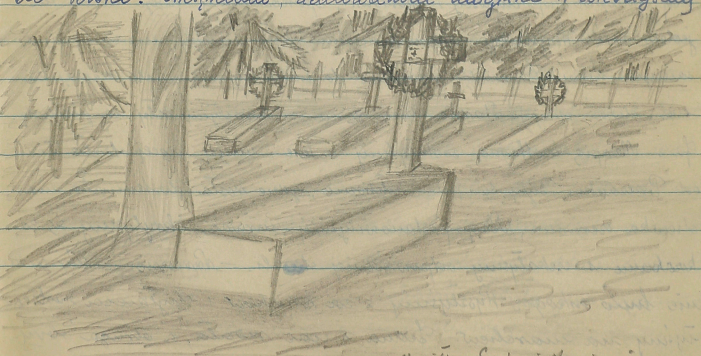
Jakto? — Ten co niedawno mówił, żebyśmy nie myśleli o wolności, że tu poginiemy. Ten sam teraz

powiedział nam, że jesteśmy wolnymi, i wkrótce wrócimy do kraju.
Pan sam teraz wznosił okrzyk na cześć naszej kochanej Polski.
Nie chcieliśmy wierzyć; zdawało się ~~to~~ nam, że to tylko snem.
Powtórny okrzyk „Niech żyje Polska i jej armia" – krzyczeliśmy wydobywając wszystkie siły. Rzeczywiście wolność! Boże, cóż za szczęście spotkało nas. Wysłuchałeś modlitw naszych.
Tak serce każdego wznosiło się z podzięką ku Ojcu niebios.
Łzy radości i szczęścia cisnęły się ~~do~~ ócz każdemu, dławiły w gardle i spływały po policzkach. Płakali również i Rosjanie, który 11 lat temu zostali tu zesłani i takiej jak my wolności napewno nie doczekają nigdy. Rozległy się potężne słowa naszej roty. „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród".
hymne „Jeszcze Polska nie zginęła". Komendant jeszcze dodał, że będzie można wyjeżdżać z posiołka dokąd się chce tylko w oznaczonych czterech obłaściach, ale na własny koszt.
– Masz sęk, a w sęku dziura, co teraz zrobimy, za co my ~~się stąd~~ wydostaniemy. Już prawie niema nic do sprzedania.
rzekła zaniepokojona mamusia. „Nie mamusiu jakoś Pan Bóg da" – odpowiedziałam. Od tej pory pracowałam rzeczywiście dzień cały prawie nie odpoczywając. Zarabiałam jeszcze więcej. Mamusia też pracowała. Rodzeństwo zbierało jagody

których trochę sprzedawaliśmy, trochę zaś suszyliśmy dla siebie. Suszyliśmy również grzyby, które teraz z kartoflami były jedynym naszym pożywieniem. Bardzo dobra była również klukwa; rosła na bagnach i bardzo dobry był z niej barszcz, a zimą można ją było jeść samą i była bardzo smaczna. Moc czernic, czerwonych borówek, orzechów i grzybów dawała zajęcie ludziom poza całodzienną pracą, kto chciał trochę zabezpieczyć się na zimę. Jesień była w całej pełni, Pożółkłe liście drzew zaczęły opadać. Coraz częściej padały deszcze i błoto było niemożliwe. Często bywały przymrozki, a nawet prószył śnieg. Wszyscy prawie szykowali się do podróży, lecz nam trudno było o tym myśleć. Nikt na całym posiołku nie znajdował się w tak ciężkim i trudnym położeniu jak my. Zrezygnowani, nic innego nie widzieliśmy przed sobą, tylko, że będziemy musieli zostać na zawsze w tych strasznych dzikich lasach. — Niech się dzieje wola Boża — On wie co robi. To była nasza jedyna pociecha.

Pewnego dnia ni stąd ni zowąd dowiedziałam się, że od 15 lat zapisują do P.C.K. Natychmiast złożyłam podanie, a ponieważ do piętnastu lat jeszcze brakowało mi sporo, dodałam sobie więcej niż 1½ roku — Przyjęto mnie, z czego wszyscy

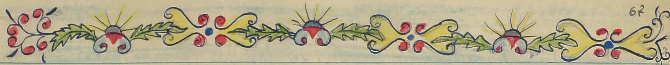
cieszyliśmy się niezmiernie, bo kto został przyjęty, miał jechać za darmo. Przygotowywaliśmy się i my do drogi. Już wszyscy prawie wyjechali. Dnia 29/VIII 1941 r. mieliśmy wyjechać z Piszczanki. Wszystko było już spakowane. Poszliśmy jeszcze na cmentarz pożegnać z najdroższymi, którzy tu pozostaną na zawsze. Żal ogarnął serca nasze, wyciskając gorące słone łzy. Nie doczekali tego szczęścia, którego tak doczekać pragnęli. Pozostaną tutaj, wśród dzikich lasów, zdala od swych bliskich. Pozostanie ich tu spora garstka. Starsi, młodzież i dzieci, a wśród nich i nasz Edzio z Maniusiem. Zdawało mi się, że słyszę głos tych aniołków, ażeby ich zabrać z sobą do Polski. Uklękłam, ucałowałam mogiłki i odeszłyśmy



Mogiłka Edzia i Maniusia - Piszczanka -

Ostatnim spojrzeniem żegnałam ich. Nikt tu nie przyjdzie, nie odwiedzi już biednych sierotek. Pomyślałam, że przecież są razem z Tatusiem i siostrzyczką Terenią w niebie, i nie będą już cierpieć głodu i niedoli. Pożegnaliśmy ich już na zawsze. Co chwilę odwracałam się kierując wzrok w stronę cmentarza.
— Może i my gdzieś w drodze... złożymy swe kości, i nie zdołamy dojść do celu: — przebiegło mi przez myśl. — Niech nas Pan Bóg ma w swej opiece, Jego niech się dzieje wola!

Od samego rana było pochmurno, i zanosiło się na deszcz lub śnieg. Opuszczamy posiołek. Radość panuje wśród nas, na myśl, że jedziemy do domu, którym jest ukochana nasza Polska. My, państwo Wojciechowscy i Skotłowie, spakowaliśmy swoje rzeczy na jeden wóz. Wszystkiego razem z dziećmi było mniej niż u innych samych rzeczy. (Prawdę powiedzieć to niektórzy samych rzeczy mieli na dwa wozy.) Starsze dzieci razem z dorosłymi szły na piechotę. Ja z Marysią Skotłówną zostałyśmy w lesie, mniej więcej około 5 km od Pierzanki. Były tu pola kołchozowe, gdzie rosła doskonała marchewka czerwona, której postanowiłyśmy narwać. Skryłyśmy się za krzakami i czekałyśmy odpowiedniej chwili. — Nareszcie! Na polu nie było nikogo. Wyszłyśmy z za krzaków i chyłkiem pobiegłyśmy na marchew. Jedna z nas rwała, a druga obry-



wała nać, żeby nadarmo nie zajmowało miejsca w torbie. Prze-
łyśmy siedząc w kucki, aby nas przypadkiem ktoś nie zobaczył,
bo trzeba wiedzieć, że marchwi pilnował stróż. Już nawałyśmy
pełne woreczki i tylko trochę brakowało do pełnych chustek. Wtem
usłyszałyśmy, że ktoś za zakrętem rozmawia. Natychmiast obie
czmychnęłyśmy w pobliskie krzaki, które osłoniły nas swymi
gałęźmi. Z pomiędzy krzaków widać było doskonale co się działo
na polu. Z za zakrętu wyszło dwoch mężczyzn. Jeden z
nich z karabinem na ramieniu skierował się na miejsce
gdzie leżała oberwana nać. Oglądnął się na wszystkie strony,
obszedł pole w poprzek i znów stanął na tym samym miej-
scu, porozglądał się i zdjąwszy z ramienia dubeltówkę, za-
czął ją nabijać. Ogarnął nas trochę lęk, lecz głowy nie
traciłyśmy. Zaczęłyśmy obmyślać, jakby z tąd uciekać. Z
najpierw powoli, później trochę prędzej; posuwałyśmy się
coraz głębiej w las. Tu wyprostowawszy się, pewne że nikt nas
nie widzi biegłyśmy co tchu. Po chwili zatrzymałyśmy się, że-
by odpocząć. Usiadłyśmy za stosem drzewa, obawiając się,
że gdyby ktoś szedł, mógłby nas zobaczyć. Było już późno i
zaczął padać deszcz. Trochę zmarzłyśmy, ale o tym nie

myślałyśmy. Ważniejszem było, że był już prawie wieczór, a my miałyśmy jeszcze przed sobą 10 km drogi, zaszłyśmy 21 km. Przyspieszyłyśmy kroku i tak szłyśmy prawie milcząc. Wokół panowała cisza i tylko szum sosen jak cichc echo rozlegał się w około. Zdaleka widać zarysy miasta Krasnowiszerska. Już coraz lepiej widać. - No i już nareszcie jesteśmy razem z naszymi na przystani. Okrętu, a raczej barży jeszcze niema, i przyjdzie się poczekać. Czekaliśmy dzień, drugi, trzeci i tydzień, a barża nie przychodzi. Codziennie chodziliśmy na pola (kartofliska) kopać kartofle, których pomimo że były już wykopane, połowa była w ziemi. Tak żyliśmy. To znów wyrzucło się kilka metrów drzewa i już było parę rubli na zupę. Wszystkich pieniędzy mieliśmy 400 rubli, co na naszą rodzinę było niczym na taką wielką podróż i nie wystarczyłoby nawet na bilety. Aż tu pewnego dnia po południu wszystkich którzy zapisali się do wojska wezwano do głównej komendy w Krasnowiszersku. Niedoczy innymi i mnie. Poszliśmy. Nie wiedzieliśmy co to ma znaczyć, aż wreszcie oznajmiono nam, że ci co zostaną przyjęci pojadą zadarmo, rodzina ze mną. Teraz kwestia, kogo przyjmą. Każdego po kolei wzywano do gabinetu komisarza, który biorąc pod uwa-

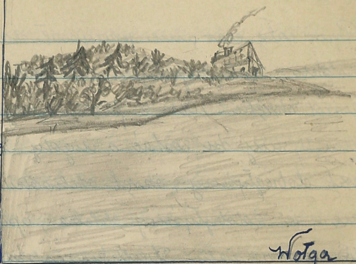




dę wzrost, wiek, wygląd i stan, przyjmował lub odrzucał. Przyszła kolej na mnie. Stanęłam jak przed sądzią. Tuż przy nim siedział pan Rakowski, kolega Tatusia z jednej osady. To dodało mi trochę odwagi. Na pytania odpowiadałam z korzyścią dla mnie. Pomimo wszystko nie chciał wierzyć, że skończyłam 16 lat. To niemożliwe, - mówił, „Toż eto jeszcze ditia". Zaczął mnie przekonywać, że jestem za młoda, i za mała, aby pracować i że lepiej będzie jak pozostanę. Słów tych nie mogłam strawić. Łzy zawirowały mi w oczach, ale wstrzymywałam się aby nie wybuchnąć płaczem. Nie znam zawygrane pomyślałam i słowa następujące wyrwały mi się:
„Сегодня смотрите что я маленькая и молодая, что меня будет тяжело работать, а тогда не смотрели, когда батька убили и нас сирот вывезли здесь на Урал. Как я и мама тяжело работали, голодом и холодом примерали. Этого никто не видел и не жалел. Не останусь здесь! пойду в армию. Погибну как мой батька за Родину, а здесь не останусь!" Wysłuchał, zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głowy. Pan Rakowski wstawił się za mną i wreszcie mnie przyjął. Nie mogłam się uspokoić w płaczu. Jakto

ou śmie nas jeszcze tu zatrzymywać, aby dalej znęcać się nad nami. Niedoczekanie jego! Dosyć już niewoli i pracy na nich. Chociażbyśmy mieli być nieraz głodni, pójdziemy, sama myśl, że zbliżamy się do ukochanej naszej ziemi będzie nas żywić. Tego co oni zbrodniarzy nam wyrządzili nie zapomnę im do śmierci, a jedynym moim celem jest odwdzięczyć się im choć częściowo. Następnego dnia po południu przyjechała barża. Już parę dni padał śnieg i był mróz. Była obawa, że może zamarznąć rzeka i przestaną kursować łodki. Nareszcie przyjechała barża ku naszemu zadowoleniu. Przed wieczorem wszyscy już byli załadowani, i w nocy mieliśmy odjechać. Rzeczy zostały na pokładzie, my zaś wewnątrz barki. Urządzenie było tu podobne jak w wagonach: piętrowe ławki, na których siedzieliśmy i spaliśmy. Była nawet kuchnia, ale nie było co gotować. Tą barżą jechaliśmy po rzece Wiszerze, aż do Mołotowa. Tu przesiedliśmy na duży okręt „Pamiatь Okulowa". Okręt ten był naprawdę ładny. I-sza i II-ga klasa o bardzo wygodnym i ładnym urządzeniu. My jechaliśmy klasą III-ą. Tu jechała masa ludzi, bo przeszło 4 tysiące. Ciasno było niemożliwie. Ludzie siedzieli prawie jeden na drugim, a nawet pod spodem było

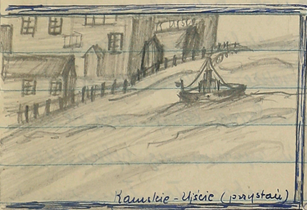
pełno ludzi. Okręt na przysta=
niach zatrzymywał się, a wów=
czas ludzie wybiegali na brzeg,
ażeby cokolwiek kupić do jedze=
nia. Trudno było cokolwiek
dostać, a i to bardzo drogo.
Na przystani w Czystopolu do=




wiedzieliśmy się, że niedaleko w kooperatywie sprzedają chleb
bez kartek, co należało do rzadkości, i 1kg kosztuje 85 kopiejek.
Okręt miał stać godzinę czasu, więc ja z Jadzią pobiegłyśmy
za chlebem. Stoimy w kolejce. Wtem, nie wierzę swym oczom.
Edek Kaczmarczyk, w tym roku na wiosnę uciekł z posiołka, i
pisał do swego stryja listy z Polski. Skądżeś się tu wziął? Na
pytania odpowiadał nam po rosku. Przechodził granicę nie=
miecką i wtedy go złapali. Gdy dowiedzieli się, że uciekł on
z Uralu, posadzili go w więzieniu w Moskwie. Składał po=
dania, aż wreszcie wypuścili go, lecz nie na wolność.
Chodził na kurs traktorzystów i był w t. zw. „prijucie". W
wolnych chwilach woził chleb do tej właśnie kooperatywy.
Znajomi namawiali go, aby jechał z nami, że wstąpi
do junaków. On tylko kiwał głową, i nie zgodził się.

Przez cały czas, nie przemówił do nas ani jednego słowa po polsku. Już kupiłyśmy 2 bochenki chleba i dał się słyszeć gwizd okrętu. Obie z Jadzią szybko pobiegłyśmy, bo inaczej mogłyśmy tu zostać i nigdy nie dogonić „naszych". Akurat dobiegłyśmy, okręt odchodził za 5 minut. Uradowane, że zdobyłyśmy chleba, opowiadałyśmy mamusi o tym cośmy widziały. Zjedliśmy wszyscy po kawałeczku chleba, i byłyśmy syte. Jedziemy już parę dni. W Kamskim-Ujściu przesiądziemy na drugi okręt i pojedziemy po Wołdze. Wysiadaliśmy w nocy. Straszne zamieszanie, z którego korzystali złodzieje. Nam skradli worek z ostatnią bielizną i naczyniem, oraz walizkę z moimi rzeczami. Były tam: książki, zeszyty, różne pamiątki po Tatusiu jak: dyplomy, krzyże, ordery, oraz album z fotografiami. Przeszło 400 zdjęć. To dla mnie było najcenniejsze. Ukradkiem zabrałam to z domu, cały czas chroniłam jak świętości, i teraz miałam stracić. — Nie!. Zaczęłam wszędzie przewracać, szukać, krzyczeć, ale nic nie pomogło. Ten kto wziął, nie czekał. Myślał może, że tam niewiadomo co jest. Omylił się, bo jemu to żadnej korzyści nie przyniesie, a dla mnie to miało znaczenie i wartość bezcenną.

Stanęłam pod ścianą i porwał mię niepohamowany szloch.
Jakto, mam to utracić? Nie mogłam się z tym pogodzić.
Tymczasem już wszyscy wysiedli, i okręt miał odpływać.
Weszła mamusia, chwyciła mnie za rękę „Co ty tu jeszcze sie=
dzisz, nie słyszałaś, że ten okręt zaraz odpływa?" „Mamu=
siu" – powiedziałam – „ja to muszę znaleźć". „Coś ty niemądra
Trudno, zginęło, nic na to nie poradzisz! No chodź prędzej
tam zostały dzieci same. Jeszcze resztę rzeczy kto ściągnie".
Nie chcąc robić przykrości mamusi, poszłam, zalewając
się łzami. Wolałabym zostać w tym co mam na sobie,
byleby mi to wrócili. (album) Chyba nigdy tego nie




odżałuję, a szczególnie zdjęć.
Okrętu, którym mieliśmy jechać
aż do Saratowa jeszcze nie było.
Trzeba było czekać. Mamusia z
dziećmi poszła do poczekalni, a
ja zostałam przy wszystkie bagażu
Siedząc na worku cały czas płakałam i nie mogłam się
od łez powstrzymać. Pomimo że był silny mróz, zimna
nie odczuwałam. Nie podaruję tego nigdy i choć w jakiś
sposób muszę się tym szubrawcom bolszewikom odwe=
dzięczyć.

Dopiero trzeciego dnia podpłynął „Klin Worszytów", któ=
rym mieliśmy jechać. Zaczęliśmy się ładować na okręt.
W okrutnym tłoku trudno się było przepchać. Mamusia sama no=
siła rzeczy na okręt i chciała zająć miejsce dla nas. Kiedy
wyszła spowrotem wypadłą na ziemię szpulka nici, które
były w spodniej kieszeni. Spostrzegłszy to mamusia natych=
miast chwyciła za kieszeń. W tejże chwili zbladła, i z piersi jej
wyrwał się głos rozpaczy. — „Jezu cóż ja teraz pocznę". Ostat=
nie 100 rubli i tatusiową obrączkę skradziono mamusi z
kieszeni i nie wiedziało w jaki sposób. Widocznie zrobił
to specjalista. Zostaliśmy bez niczego. Jeden dywan i
trochę starych już rzeczy, oraz obuwie, był całym naszym
majątkiem. Jechaliśmy bez kawałka chleba już drugi
dzień. Mamusia zachorowała. Młodsze rodzeństwo kwili
z głodu. Nie mogę na nich patrzeć. Serce kraje mi się z
bólu i dławią łzy. Już drugi dzień żywimy się tylko „kipia=
tkom"! Nie chciałam, aby mamusia zobaczyła łzy w moich
oczach, więc odeszłam nieco i postanowiłam chodźby po=
prosić dla nich odrobinę chleba. Udałam się na
piętro. Jechali tu ludzie bogaci rosjanie, grało radio, dzie=
ci się bawiły o niczym nie myśląc. Na ten widok ogar=

nął mnie okrutny żal. Myślą przebiegłam szczęśliwe dni w ojczyźnie i obecną niedolę. Usiadłam na schodach i łka=nie zaczęło mną wstrząsać. Nie mogłam się zdobyć, ażeby wyciągnąć rękę po kawałek chleba. Zapomniałam gdzie się znajduję i wybuchnęłam prawie głośnym płaczem. W tym jakaś rosjanka, o dobrych, łagodnych oczach i poczciwej twarzy wzięła mnie za ramię i zaczęła pytać co mi jest. Dopiero po chwili zdobyłam się na odpowiedź. Opowie=działam jej o wszystkim. Wzięła mnie za rękę i podprowadziła do swego miejsca. Poczęła mnie uspakajać. Wyjęła bochenek chleba czarnego 2 bułki, kilka kawałków cukru i troszkę margaryny, dała to wszystko dla mnie i kazała zanieść mamusi i dzieciom. Brakowało mi słów podzięki. Niech Pan Bóg wynagrodzi jej dobroć. Spasi Boh! Spasi Boh! — dziękowałam. Szybko po=biegłam do mamusi i rodzeństwa. Ostudziłam ~~trochę~~ herbatę i dałam im chleb aby się trochę pożywili. Resztę schowałam na później. Sama nie mogłam nic przełknąć. Niech zostanie dla nich. Zapewniałam mamusię, że już jadłam. Po tym trzeciego dnia takiej samej jazdy, doje=chaliśmy do Kujbyszewa. Tu powiedziano nam wysiąść

Tu jest polska placówka i polscy żołnierze. Siły opu=szczały mnie zupełnie, kręciło mi się w głowie i z trudem dodrzitałam. Te słowa dodawały mi życia i sił. Zobaczyć polskiego żołnierza, — było moim marzeniem. Pomogłam mamusi przenieść rzeczy z pociągu do poczekalni. Było już ciemno. Tu mieliśmy przenocować, a nazajutrz udać się do szkoły N. 42, gdzie zbierali się ludzie przyjeż=dżający z północy i stąd transportami wszystkich wysyłano do krajów południowych. Rano już mało kto był na przystani. Mamusia z dziećmi, w dodatku chora, nie mogła iść. Poszłam ja z Dziunią. Ledwieśmy doszły. Odrazu poszłam się zarejestrować. Boże! Polski żołnierz. Co za szczęście. Polsko jesteśmy coraz bliżej Ciebie. — Łkało mo=je serce. Stoczyły się łzy, lecz te, łzy radości. Przyszedł pan kapitan Lewicki i Żeromski, obaj dobrzy jak ojcowie. Opowiedziałam im wszystko szczerze i z ufnością. Pogłas=kał mnie po głowie, pocałował w czoło i dobrotliwie powie=dział: „Nie martw się dziecinko, już tak cierpieć nie będziecie!" Pomoc w pierwszym rzędzie wam się należy". Natychmiast posłał dorożkę po mamusię. Podziękowałam serdecznie, odeszłam na bok, stanęłam pod ścianą

i ukrywszy twarz w dłoniach, modliłam się serdecznie, dziękując słodkiemu Jezusowi i Jego Mateńce, za tą wielką łaskę i Ich miłosierdzie. Ocknęłam się, gdy przyjechała mamusia. Zajęliśmy miejsce w jednej z sal razem z innymi. Umyliśmy się i przynieśli obiad. Spragnieni pożywienia jedliśmy szybko. Teraz zdawało mi się, że już lepiej być nie może. Za dwa dni mieliśmy wyjechać na południe. Ciemno jeszcze było, gdy kazano się nam przyszykować do drogi. Każdy co miał, brał na plecy i ruszyliśmy. Wschodziło słońce, jak przyszliśmy na stację. Do południa zeszło, póki załadowano cały transport. O godzinie 4-ej mieliśmy odjechać. Zaopatrzono nas na drogę częściowo na miejscu, resztę otrzymał komendant transportu, który miał zabezpieczać ludzi w żywność w czasie podróży. Tymczasem pan ~~posło~~ Jugosławski przyszedł do naszego wagonu. Rozmawiał ze starszymi, a przeważnie z dziećmi. Opowiadaliśmy wszystko. Gdy mnie zapytał, gdzie jest tatuś, nagle zdławiło mnie w gardle i nie mogłam wydobyć głosu. Inni odpowiedzieli za mnie. Wszystko nieszczęście waliło się na nas. Mamusia bardzo zachorowała i Rysio. Nowe zmartwienie spadło na moją głowę. — „Nic martw się moje dziecko, wszystko będzie

w porządku". Wyjął 150 rubli, które dał mnie i poszedł. Za chwilę wrócił powtórnie i sam przyniósł paczkę słodyczy dla dzieci, białego chleba, cukru i świeżego mleka. Oraz kazał pomagać mamusi i pilnować rodzeństwa, po czym odszedł. Rodzeństwo już wygłodniało i zaczęło płakać jak zwykle robią dzieci. Niedaleko była stołówka i dużo ludzi już przyniosło tanią, lecz doskonałą zupę z chlebem. Inni dopiero poszli. Pobiegłam i ja. Za trzy godziny napewno zdążę. Przebiegłam tunel i jak strzała wpadłam do stołówki. Za stołem siedziało pełno żołnierzy ruskich, a pod ścianami, aż na korytarz ciągnęła się kolejka. Zajęłam i ja kolejkę, ale próbowałam przepchać się z przodu. Nic nie pomogło, a zupy już brakło i za chwilę będzie gotowa inna. Czasu było jeszcze dość więc czekałam. W przeciwnym budynku była apteka. Kupiłam bandaż, jodynę, rycynowy olejek i walerjanki, co w podróży zawsze może się przydać. Zupę już zaczęli wydawać. Dostałam wreszcie i ja. Na zegarze wybiło wpół do trzeciej. „Zdążę, jeszcze półtory godziny. Szybko pobiegłyśmy. Zapomniałam dodać, że nie byłam sama. Była ze mną Dzidzia i Alinka Tarnowska. Przychodzimy na tor, na którym stał nasz szaton. Pociągu niema. Byłam pewna, że

szybować, i napewno stoi na innym torze. Dzidzi i Alicce kazałam tu zaczekać, a sama pobiegłam szukać naszych wagonów. Obiegłam wszystkie tory i wszystkie wagony, nawet na stacji towarowej, lecz daremne były wszelkie przypuszczenia. Nie wiedząc co mam robić, wstąpiłam do pobliskiej dyżurki, aby się dowiedzieć gdzie stoi nasz szałon. I oto co się dowiaduję, że o godzinie wpół do trzeciej odjechał. No, zostałyśmy same. Ani na chwilę nie straciłam głowy. Polecając się opiece Bożej wróciłam do Dzidzi i Alicki i razem poszłyśmy na stację. Uspokoiłam je, aby nie płakały. Dziwna odwaga wstąpiła we mnie. Już się ściemniało i zabłysła elektryczność. Byłyśmy niedaleko stacji. Wtem co to? ktoś mnie woła. Rzeczywiście, byli to również zostali p. Piksa i Malec. Trochę ucieszyłyśmy się, bo zawsze ze starszymi raźniej. Alickę i Dzidzię bolały nogi i nie mogły nadążyć za nami. Prosiłam aby zwolnili kroku, lecz ani słuchać nie chcieli. Niech lecą, dam sobie radę sama i zostałam. Przyszłyśmy we trzy na stację i odrazu udałam się do dyrektora. Poradził mi, żebyśmy wsiadły do transportu, który odejdzie o godzinie ósmej do Taszkientu. Tym transportem pojadą sami rosjanie. Obawiałam się puszczać w drogę, wśród zupełnie obcych

ludzi. Wyszłam, na podwórzu spotkałam znów p. Malca i Tiksę. „Co będziemy robić panno Ekunrie," — zapytał jeden z nich. W tej chwili zostanę. Cóż to oni, starsi mężczyźni pytają mnie co robić. Trzeba przyznać, że się tak wyrażę, byli to fajtłapi jakich mało. Opowiedziałam im o mojej rozmowie z dyrektorem. „Doskonale, jedziemy!" — obaj jednocześnie zadecydowali. „Dobrze proszę panów — odpowiedziałam, ale ja nie pojadę. Pójdę do pana kapitana po radę co mam zrobić." „Może panienka ma racyję i my ter zaczekojmy." I razem z Dzidzią i Alinką zostali na stacji. Na ulicach było ciemno i tylko co pewien odstęp latarnie rozsiewały światło. Biegłam prawie całą drogę. Od czasu do czasu mijała mnie taksówka lub jakiś spóźniony motocyklista. Trzy kilometry przebiegłam w mig. Nareszcie jestem w szkole. Oj, żeby choć zastać pana kapitana. Wchodzę na schody i tu spotkała porucznika, który nas rejestrował. „Co jeszcze transport nie odszedł?" — ze zdziwieniem zapytał. „Nie panie poruczniku transport już dawno odszedł, a my zostałyśmy, i teraz opowiedziałam całą historię dokładnie. Roześmiał się z tego serdecznie, kazał się nie martwić oraz przyprowadzić pozostałych. Cotchu pobiegłam uradowana. Wiatr szumiał

mi w uszach. Nareszcie dobiegłam i razem z Dzidzią i Alinką wróciłyśmy do szkoły N. 42. Mężczyźni poszli z nami. Przyszłyśmy na miejsce. Czekała nas już kolacja. Miałyśmy tu znajomą panią Balawajderową, która zaraz nam posłała posłanie. Zaraz po kolacji położyłyśmy się spać. Nazajutrz rano po śniadaniu przyszedł pan porucznik Żeromski i Lewicki. Przynieśli nam pełno słodyczy i zapewniali, że napewno spotkamy się z mamusią. Całym sercem i duszą byłam im wdzięczna za ich dobroć. Około południa przyjechał samolotem ksiądz z Londynu. Przed wieczorem przyszedł do nas razem z panem k. Żeromskim, który natychmiast przedstawił mu naszą trójkę. Ksiądz był niskiego wzrostu, dość gruby, przytym bardzo miły, dobry i wesoły. Trochę nam dokuczał i nazwał mnie mateczką. Przyjechało z nim również dwuch mężczyzn, również bardzo przystojnych. Jeden z nich anglik. Tego wieczoru długo z nami rozmawiali, a na odchodnem dostałam od anglika na drogę 100 rubli. Następnego dnia o godzinie 10-ej rano odprawił ksiądz nabożeństwo. Boże! dałeś nam doczekać tego wielkiego szczęścia, słuchania tej Najświętszej Ofiary, Mszy świętej. Sala była wypełnio-

na ludziach po brzegi. Przy jednej ścianie zestawiono stół, który miał zastępować ołtarz. Na ścianie, na pięknym dywanie wisiał śliczny obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej. Możliwie najpiękniej ubrano ołtarz. Pierwszą pieśnią śpiewaną w czasie mszy św. była „Serdeczna Matko". Z początku potężna, później zmieniło się w szloch. Nikt nie mógł się powstrzymać. Płakali wszyscy, nawet i żydzi. Ludzie na kolanach składali Zbawicielowi, który po dwuch latach znów zstąpił wśród nas, na ołtarz, to co przenieśli w przeciągu tego czasu. Dziękowali za łaski i dobrodziejstwa, jakich tak wiele otrzymywali w najcięższych chwilach. W tej chwili zapomniałam, gdzie się znajduję. Zdawało mi się że klęczę u stóp swego Zbawiciela, Pana i Opiekuna, a Mateńka Niebieska płaszczem Swej macierzyńskiej dobroci i miłości osłania mnie. Rozmawiałam w tej chwili z Panem Jezusem. Opowiadałam wszystko swemu Tatusiowi w niebie. Zwierzałam się z wszystkiego co przecierpiałam i prosiłam o dalszą opiekę. Dziękowałam za łaski i dobrodziejstwa, których tyle otrzymałam. Czułam tylko, jak gorące łzy spływały mi po twarzy. Panie, daj mi jeszcze spotkać się z Mamusią.

zatopiłam się w modlitwie, z której przerwało mi kazanie księ=dza. Przysłał go Ojciec święty z błogosławieństwem dla Polaków. Kazanie do głębi serca wszystkich wzruszyło. Ksiądz również miał łzy w oczach, drżał mu głos. Przestał mówić błogosławiąc wszystkich zebranych. Wszyscy łkając koń=czyli swoje modlitwy. Wszyscy byli podnieceni i całkowicie zatopieni w słowach kapłana. Tej pierwszej po trzech latach Mszy świętej nie zapomnę nigdy i z całej duszy i serca dziękuję Panu Bogu, że dozwolił nam tego szczęścia doczekać.

Nazajutrz wyjechaliśmy z Kujbyszewa. Transport składał się przeważnie z łagierników, oraz kilku rodzin. Komendan=tem transportu był por. Sokołowski. Jemu to powierzył nas pan kapit. Żeromski. On miał nas oddać w ręce mamusi. Zaopat=rzone na parę dni w chleb i trochę pieniędzy wieczorem ruszyliśmy. Trzeciego dnia, nie mając nic do jedzenia oprócz chleba, ostatni kawałek chleba zjadłyśmy na śniadanie. Jechałyśmy pustym stepem. Piach, wydmy piaszczyste, gdzie-niegdzie wśród wyso=kiej trawy sterczały suche kolczaste gałęzie. Wzdłuż tej drogi z rzadka spotykaliśmy maleńkie wioski, a przy torach dom=ki kolejowe lub przystanki. Domy coraz to inne, aż wreszcie wjeżdżamy do miasta, które wygląda jak ruina, takie

przynajmniej zrobiło na nas wrażenie. Małe gliniane domki o płaskich dachach zaledwie można było odróżnić od ziemi. Gdzie-niegdzie sterczały karłowate krzaczki. Tu i ówdzie wielbłądy skubały zeschłą trawę. Kobiety w spodniach budziły w nas zainteresowanie. Zdawało nam się, że są to zupełnie dzicy ludzie. Chcieliśmy się dość cokolwiek dowiedzieć o ich życiu, lecz nie można się było z nimi porozumieć w żaden sposób. Z zaciekawieniem przyglądaliśmy się temu co spotykaliśmy po drodze. Późno wieczorem przyjechaliśmy do dość dużego miasta, Orysu i mieliśmy tu stać do godziny ósmej. Głód dokuczał nam niezmiernie. Nad ranem dowiedzieliśmy się, że na stacji, niedaleko stąd jest stołówka i bardzo tania jest zupa z chlebem. Kilku mężczyzn z naszego wagonu poszło. Ja miałam jeszcze kilka kopiejek więc poszłam też. Po kilku minutach drogi przyszliśmy do dość dużego budynku z elektrycznym oświetleniem. Kolejka była już spora. Mężczyźni silniejsi, przepchali się, kupili wcześniej i poszli. Ja nie miałam na tyle siły, przepuścić też nikt nie chciał, bo każdy był głodny, wobec tego musiałam czekać kolejki. Nareszcie doszło i do mnie. Kupiłam 3 porcje zupy z chlebem i kasjerka wydawała mi resztę, gdy wtem rozległ się przeciągły gwizd lokomotywy. Natychmiast wybiegłam. Pociąg już jechał. Wagon w którym jechałam już minął. Do następnego udało

mi się wstawić rondel z zupą, chleb pogubiłam. Sama chwyciłam wskoczyć na termos, już stałam na stopniu i trzymałam się poręczy, wtem kilku żydów również spóźnionych wskoczyło na schodki i zepchnęli mnie, sami zato pojechali. Upadłam na żwir, całe szczęście, że nie pod pociąg. W kolana i łokcie nawbijało mi się kamieni. Całe nogi i ręce miałam pokrwawione. Zauważyło to dwóch kolejarzy. Pozbierali chleb, który pogubiłam i podeszli do mnie. Nieco w tyle stał pociąg pospieszny. Kazali mi wsiąść i tym pociągiem dogonić będę mogła nasz transport, bo idzie w tym samym kierunku. Natychmiast wstałam i uczyniłam co mi radzili. Ale tu nie chcą przyjąć. Konduktor nie pozwala. Cóż mi teraz pozostało robić. Jeżeli tym (transportem) pociągiem nie pojadę, to będę musiała tu zostać, może na zawsze. Niech będzie co chce, pojadę. Wskoczyłam na schodki. Pociąg już ruszył i jakiś kolejarz Niemiec czy też jakiś inny czarny djabeł schwycił mnie za płaszcz i ściągnął, a sam odszedł. Tym razem nie straciłam przytomności i wskoczyłam na następne schodki. Tym razem udało mi się. Wyjechaliśmy za miasto, czy też wioskę. Zaczęło wschodzić słońce. Mróz szczypał zawzięcie i ręce zgrabiały mi zupełnie. Bałam się żeby nie

upaść, więc przywiązałam się szalikiem do poręczy. Kilku chłopców w gimnazjalnych mundurach, który też odstali od tego transportu co i ja, stało w dyżurce. Widocznie zauważyli mnie, bo jeden z nich wyszedł i zaczął mnie namawiać żebym przeszła do dyżurki. Spoczątku bałam się żeby nie upaść. W końcu zgodziłam się. Podał mi rękę i pomału po zderzakach, przeszedłszy przez mostek weszłam do dyżurki. Tu poczułam, że bolą mnie niezmośnie ręce i nogi. Zimno trzęsło mnie jak febra. Na każdym przystanku wypędzano nas, ale my nieproszeni wsuwaliśmy się zpowrotem. Na trzecim przystanku chcieli nas aresztować. Wyskoczyliśmy z wagonu i na drugim torze niespodziewanie zobaczyliśmy że stoi nasz transport. Ludzie przychodzili z wagonów i myli się. Uradowana pobiegłam do swego wagonu dziękując chłopcom za pomoc. Dzidzia i Alinka siedziały na narach zapłakane. Gdy mnie zobaczyły, aż krzyknęły z radości. — „Myślałyśmy, że już nas nie dogonisz!"

Teraz poszłam poszukać rondla z zupą. Znalazłam go w sąsiednim wagonie, ale zupy już nie było. Chwała Bogu, że chodź rondel jest. Na najbliższym przystanku baby sprzedawały zupę, której kupiłam za ostatnie

pieniądze. Pożywiliśmy się trochę i dalej jechaliśmy tak jak przedtym. Ja już pieniądzy nie miałam, a pana porucznika najmniej bolała głowa o to, że już znów trzeci dzień jechaliśmy o głodzie. Około południa zatrzymaliśmy się na większej stacji. Obok stał transport z wojskiem sowieckim, jadącym na front. Nasi ludzie powychodzili z wagonów, zaczęli prosić o kawałek chleba. Rosjanie obdarzali ich nietylko chlebem, lecz także sucharami, cukrem, suszonymi rybami i czym tylko mogli. Wyszłam i ja z wagonu, stanęłam na peronie i teraz poczęła się toczyć w duszy mojej walka. Nie mogłam się zdobyć na to, ażeby wyciągnąć rękę po ten upragniony kawałek chleba. Żebrak u nas nie potrzebował żebrać, bo mu się zamożno i nigdy nie miał takiego dnia, bez kawałka chleba. Ambicja nie pozwalała mi. Nie, wolę nie jeść choćbym miała umrzeć, a żebrać nie pójdę. Jednocześnie widziałam wciąż przed sobą płaczące z głodu Dziunię i Alinkę. Biedactwa nie miały już siły wstać. Pójdę --- nie, tak wahałam się chwilę. Już dłużej nie mogłam, nie mogłam powstrzymać się z

żalu. Wybuchnęłam głośnym płaczem i zapomniałam, że może na mnie ktoś patrzy. Wtem podeszła do mnie rosjanka w mundurze sanitariuszki i dała mi spory kawałek chleba i doskonałego śledzia. Nie śmiałam przyjąć, ale dała mi i kazała iść do wagonu bo zaraz mamy odjechać. Poszłam. W wagonie było tylko parę osób. Chleb i śledzia oddałam Dziodzi i Alince, kazałam im zjeść, a sama wyszłam usiadłam na hamulcu i siedziałam prawie do wieczora. Cały czas płakałam i nie mogłam zapomnieć tego co mnie spotkało. Jednak lepiej poprosić, niż ukraść zaczęłam sobie tłumaczyć. I od tego dnia codziennie na większych stacjach schodziłam i udawałam się zawsze w kierunku lokomotywy żeby nie zostać. Zawsze coś przyniosłam, ale dla siebie brałam znikomą część z tego. W tydzień potym minęliśmy Samarkandę i 150 km stąd stanęliśmy na małej stacyjce. Transport nasz odstawiono na boczny tor i policja kazała nam wysiadać. Wszyscy udali się do komendanta transportu co robić. Przeznaczonym dla nas miastem był Kagan do którego było przeszło 200 km. Pan porucznik jak zwykle, niewiele obchodziły go sprawy

ogólne. Sam z koleżkami przetrwonił 2500 rubli, które otrzymał na chleb i zupę dla ludzi i teraz był zupełnie spokojny. Gdy go ludzie zapytywali co robić, odpowiadał — „Róbcie co chcecie". W dodatku wielu ludziom poginęły u niego paszporty i każdy odchodził z wiercy bez żadnej porady. Na końcu podeszłam i ja. — „Co my mamy robić panie porucznikui? Wierzyłam słowom p. kapitana, tymbardziej że pan przyrzekł panu kapitanowi doprowadzić nas do mamusi." — „Cóż ja wam poradzę. Jak chcecie to jedźcie ze mną pierwszym lepszym (transportem) pociągiem, na gapę." Taką dostałam odpowiedź. „W takim razie dziękuję za troskliwą opiekę, za to, że pan doprowadził nas na miejsce, że zmuszona byłam u obcych prosić kawałka chleba, a pan pieniądze stracił i gdy prosiłam pana o dokładne dowiedzenie się na polskiej placówce gdzie pojechał poprzedni transport pan wciąż zbywał mnie słowami — dobrze — dobrze —. Przy pomocy Bożej dam sobie sama radę."
I odeszłam. Wśród wszystkich ludzi panowało oburzenie, a szczególnie kobiety przeklinały go na czym świat stoi.

Po naradzie udały się wszystkie do rosyjskiego kom. posterunku. Opowiedziały co się stało i natychmiast zatelefonowały do polskiego naczelnika placówki w Samarkandzie. Odpowiedź brzmiała: „Za godzinę przyjdzie z przedostatniej stacji pociąg osobowy z pusty= mi wagonami. Proszę się załadować i jechać!"
Nadszedł pociąg. Natychmiast załadowaliśmy się. Jedziemy. Następnego dnia po południu przyjecha= liśmy do Kata-Kurganu i dosyć długo staliśmy przed stacją. Później pociąg zaczął szybować i mieliśmy odjeżdżać. Wyszłam do przedsionka otworzyłam drzwi i mimowoli rozglądałam się po ludziach. Nagle—a — Edziu! Co ty tu robisz? krzyknęłam i serce zaczę= ło mi bić coraz szybciej. Oto znajomy chłopiec cho= dził po peronie i przyglądał się przejeżdżającym. Gdy zobaczył mnie również nie wiedział czy ma ze mną rozmawiać, czy biec do mej mamusi.
—„Niusia! Twoja mamusia jest tu i my wszyscy. Ach jak się strasznie martwi, chodźcie prędzej!"
O mało mi dusza nie wyskoczyła z radości. Pobie= głam do przedziału zbudziłam śpiącą Dziadzię i

Alinkę, pożegnałam się z p. Jóźwiakiem i Jasią, wyszłyśmy i biegiem do mamusi. Rzuciłyśmy się w Jej objęcia. Zaraz zaczęłyśmy opowiadać o tym co nas spotkało od chwili gdy zostałyśmy w Kujbyszewie. Razem z mamusią przyszłyśmy, że się tak wyrażę do domu, bo nie był to dom. Na stacji pod gołym niebem mieszkaliśmy dwa tygodnie. Deszcz, kurz, upał i wiatry, dawały się nam porządnie we znaki. Co się jeszcze dało sprzedawaliśmy aby zdobyć kawałek chleba. Często przez całą noc stałam w kolejce za kilogramem chleba, który bardzo rzadko udało mi się dostać. Dni upływały wolno, jak nigdy. Aż tu pewnego dnia po południu przyszedł komendant i powiedział, że po południu wszystkich porozsyłają po kołchozach. Każdy myślał teraz byle by dostać się do dobrego kołchozu. Przed południem wszyscy po kolei byli w łaźni. Wprawdzie nie zasługiwało to nawet na nazwę „predsionka łaźni." W podziemiu mały kojec bez okien robił wrażenie najgorszej piwnicy, i nawet zaczęłyśmy między sobą szeptać, że może chcą nas tu zamknąć. Różne myśli krążyły po zmęczonej i brudnej głowie.

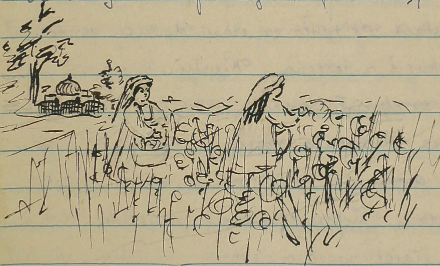
— Zaczęliśmy szukać wody i jakiegoś naczynia. Znalazłyśmy dwa drewniane koryta w dodatku dziurawe.

O wodzie to już lepiej nie mówić. Na dwie beczki było jej trochę, a w dodatku bardzo była zimna i brudna. Niektóre osoby obmyły twarz ręce i nogi i tak powychodziłyśmy, bojąc się, aby się nie przeziębić, o co było bardzo łatwo. Minął obiad i po obiedzie. Wszyscy czekali już z niecierpliwością, kiedy wreszcie będziemy mieć dach nad głową. Słońce już zachodziło, ale z wyjazdem jakoś się nie kleiło. Furmanki jeszcze nie przyjechały i jeszcze jedną noc będziemy musieli przenocować pod gołym niebem. Głodni byliśmy wszyscy więc trzeba było pomyśleć o jakiejkolwiek kolacji. Mieliśmy jeszcze trochę mąki, wzięłam ją i razem z Fanką K., Marysią S. i Walką K. poszłyśmy ugotować trochę polewki. Już kilka osób paliło ogniska i też coś gotowali. Zrobiło się zupełnie ciemno i tylko gdzie niegdzie błyskały czerwone płomienie ognisk wokoło przepływającej rzeczułki. Niektóre dogasały i tylko wiatr powiew wiatru rozdmuchiwał żarzące się jeszcze węgielki. Niektóre żywo buchały płomieniami i znów wkrótce gasły. Obok był park, czy coś w tym rodzaju. Ponury, ze starymi drzewami wiecznie szemrzącymi. Szum ten wraz ze szmerem przepływającej rzeczki wydawał się łkaniem żałosnym. Może naprawdę nucił ono kołysankę tym, którzy leżeli po przeciwnej stronie rzeki. Był to olbrzymi cmentarz uzbecki zdala widoczny ponieważ teren był

wzniesiony dość wysoko. Szare grobowce nadawały jakiejś powagi i jednocześnie (nadawały) stwarzały bardzo smutny i ponury nastrój. Szum drzew płynął bez ustanku i tylko od czasu do czasu przerywał tę ciszę przeraźliwy świst jakiegoś zwierzęcia. Wypłynął powoli na niebo księżyc. Całą ziemię osrebrzył, drzewa posypał jakby srebrnym szronem a rzeczka błyszczała różnymi odcieniami barw jakgdyby była ułożona z drobnych tafli szkła, które wciąż przebiegały i ginęły w dali. Z przyjemnością przysłuchiwałyśmy się tym szmerom, wchłaniając nieco oświeżone powietrze. Aż lżej było na duszy i ciele po całodziennym upalnym dniu.

Wróciłyśmy z już ugotowaną kolacją. Trochę posiliwszy się zasnęłam snem twardym i beztroskim, bo tylko we śnie zapomina się o wszystkim. Noc minęła szybko i następnego dnia raniutko przyjechały po nas arby. Pojechaliśmy do przeznaczonego dla nas kołchozu. Uzbekom przyglądaliśmy się z ciekawością. Interesowały nas ich zwyczaje, ubiór i wogóle zachowanie się. Do kołchozu pod nazwą „Urganysz" przyjechało nas tylko pięć ~~osób~~ rodzin. Pierwszą noc nocowaliśmy wszyscy razem w „czajhanie". Nazajutrz rano każda rodzina otrzymała kibitkę. My dostaliśmy bardzo miły, biały o dwóch oknach pokoik, w którym przedtem mieściła się kantora.

Uzbecy odnosili się do nas bardzo przychylnie i chcieli nam we wszystkim pomagać. Już następnego dnia poszłam do



pracy. Z początku wydało mi się to zabawką. Kilkanaście osób idzie rzędem, każdy swoim zagonem, zrywając puszyste kulki waty i wrzucając ją do dużych worków przypasanych do pasa. Uzbeczki chciały ze mną rozmawiać i coś pokazywały na migi wydając przytym różne dźwięki. Niewiele z tego rozumiałam, ale starałam się im odpowiadać. Po paru dniach oswoiłam się z nimi i zaczęłam się uczyć po uzbecku. Wkrótce mogłam zupełnie dobrze z nimi rozmawiać, a nawet zbieranie waty szło mi zupełnie dobrze. Szłam już razem z nimi w rzędzie, a predsiedatiel powiedział, że jestem stachanowską I-ej brygady, bo w tej pracowałam. Uzbeczki lubiły mnie bardzo i wciąż zapraszały mnie na śniadanie, obiad i kolację. Gdy nie przychodziłam na zaproszenie, przynosiły mi śniadanie czy obiad do domu i jadłam z wszystkimi członkami rodziny. Tu już zupełnie głodu od nas

odszedł. Ja pracowałam przy zbiorze waty, a mamusia z młodszym rodzeństwem wybierały watę z pączków, w domu. Pracowałam chętnie, gdyż widziałam, że nie pracuję nadaremno. Dostawaliśmy: mąkę, mleko, dzydę, kiszmisz, okungarę i sim. Przynajmniej nie byliśmy głodni. Minął tydzień i drugi. czułam się już tu zupełnie dobrze, gdyż predsiedatiel był bardzo dobrym człowiekiem i doskonale rozumiał nasze położenie. W niedzielę nie pracowaliśmy i nikt nas nie prześladował. Jednym słowem było nam dobrze.

— Nie spodziewaliśmy się tego co nastąpiło. 27/XI. 41r. (41) rano. Dopiero wzeszło słońce. Wtem przed dom ktoś zajechał kłusem na koniu i raptownie konia zatrzymał. Skoczyłam do okna i co to? Przed kantorą stoi koń, a milicjant już z niego zsiadł. Nie wiedziałam co to ma znaczyć. Za chwilę dowiedziałam się o wszystkim. Jedziemy do Polski — taką przywiózł nowinę. Radość nasza nie miała granic. Czyż to możliwe. Nie mogliśmy w to uwierzyć. Za niecałą godzinę wszyscy już byliśmy na arbach. Za chwilę jedziemy. W tej chwili podszedł do mnie predsiedatiel i chce, abym mu oddała kołdrę, którą dostałam jako dobra robotnica

ne odrobek. W tej chwili pokazałam mu spis wykonanej przez nas pracy i powiedziałam, że jeżeli zapłaci mi za robotę, wówczas oddam kołdrę. Widząc że mu się nie uda, odszedł. Uzbecski żegnały mnie serdecznie, prosząc bym do nich pisała. Na arbach jechały tylko małe dzieci, my szłyśmy z tyłu. Słońce już prawie zachodziło, kiedy przyszliśmy do Katakurhanu. Zaczęło się ściemniać i wieczorem zaczął padać deszcz. Polacy z wszystkich kołchozów byli już na stacji. Zrobiło się zimno. Dzieci zaczęły płakać. Tu i ówdzie słychać było jak ludzie narzekali na pana porucznika, który sam siedział w budynku i nie bardzo się spieszył, aby ludzi załadować do wagonów. Mężczyźni zaczęli robić ruch, aż nareszcie wyciągnęli p. porucznika. Pokolei ludzie wsiadają do wagonów. Chwała Bogu że już nie pod gołym niebem, i nie leje się za kołnierz. Deszcz padał całą noc i cały dzień. Dopiero trzeciego dnia ruszyliśmy z miejsca. Ludzie żywili się tym

co kto miał z kołchozu. Dokąd jedziemy - nikt nie wiedział. Często pociąg stał w pustym polu po kilka godzin. Było coraz zimniej, a nawet spadł już śnieg. Jechaliśmy prawie tydzień. Dopiero 8/I. 42 r przyjechaliśmy do Turkiestanu. - Hm, co też my tu będziemy robić. Ni tu drzewa, ni trawy, mróz nie mały - każdy martwił się, co będzie jutro. Wtem krzyk - wysiadać! Natychmiast zaroiło się na torze. Pan porucznik już poprzedzielał gdzie kto pojedzie. Nikt nie śmie sprzeciwić się rozkazowi i wykonuje go niezależnie od własnej woli. - Jedni jadą wołami, inni wielbłądami, a jeszcze inni samochodami. Tym ostatnim pojechaliśmy i my. Było nas 30 osób. Usadowiliśmy się w ciężarówce. Zimno. Wiatr mroźny sypie śniegiem. Och! żeby już prędzej na miejsce, bo już nie czujemy nóg, a i głód zaczął dokuczać. W dali już widać jakieś ruiny i kilka drzew. Dowiadujemy się, że to jest właśnie kołchoz do którego jedziemy. Samochód ruszył, a kołchoz zbliżał się żółwim

krokiem. Nareszcie po prawie godzinnej jeździe wjechaliśmy do wioski Stary Ikan, która była podzielona na 4 kołchozy. Po obu stronach szosy szary mur, za którym kryją się kibitki. Niektóre są nawet ładne, wybielone, naokoło otoczone sadem. Tu i ówdzie jakiś uzbek czy kozak jedzie naośle, lub wielbłądzie. Wciąż jedziemy. Po lewej stronie drogi wznosi się raptownie jakaś góra na której widać jakieś ruiny. Jeszcze chwilę jechaliśmy i samochód nas zatrzymał się przed dość dużym budynkiem, za którym rozciągał się młody sad. Ledwie zeszliśmy z wozu, poczęliśmy biegać tam i spowrotem, starając się w ten sposób rozgrzać zmarznięte członki. Wprowadzono nas do kantory. „Piękne" malowane ściany, ale cóż kiedy nie ma tu ani ławki, ani stołu, co wydaje nam się dziwnem. Nie zdążyliśmy usiąść, a już na podwórzu było pełno ludzi, którzy z zainteresowaniem nam się przypatrywali. My również z nie mniejszą ciekawością przyglądaliśmy się tym ludziom. Różnili się oni od uzbeków tak mo-

wez jak i ubiorem, a jak się później dowiedziała=łam i urządzeniem domu. Mężczyźni przeważnie wzrostu wysokiego, czarni, nosili cienkie wąsy i brody. Na głowach okrągłe czapki zwane tibitiejkami. Długie płaszcze (chałaty) i chromowe buty stanowiły całość. Młodzi natomiast nosili ubrania Europejskie i szczycili się znajomością ruskiego. Nigdzie na ulicy nie widziałam kobiet, co mnie zainteresowało. Przed wieczorem przyszedł przedsiedatiel. Oznajmił nam, że jesteśmy w kołch. Kalinin i przez kilka dni, dopóki nie znajdą dla nas kibitek, będziemy mieszkać w czajchanie. Zaraz nas tam zaprowadził. Był to niedużny budynek. Odrazu przypadł nam do gustu. Po schodach weszłyśmy na piętro. Z małego balkonu prowadziły drwi do niedużego pokoju przez który wchodziło się do drugiego trochę większego. Pokoiki te czyste, w jednym z nich stał piecyk. W tym mieliśmy tymczasowo zamieszkać. Przenieśliśmy zaraz tu swoje tobołki i napaliliśmy w piecyku trawą (bo nie było drzewa).

Sekretarz z kasjerem przynieśli nam na kolację jakiejś przemierznej zupy i po pół lepioszki. Po kolacji ułożyliśmy się spać. Ciasno było, ale ciepło. Noc minęła szybko. Następnego dnia jeszcze leżeliśmy, a już przyszła młoda uzbeczka z 8-ej klasy. Stanęła pod drzwiami i zaczęła mnie wołać. Wyszłam. Szła do szkoły i wstąpiła do nas. Chciała się ze mną zapoznać, ponieważ umiała trochę po rusku więc jej się to udało. Od pierwszego dnia mieliśmy dużo roboty. Szaliki rękawiczki, pończochy, swetry, gdy się tylko dowiedzieli, zrobiła się kolejka. Jeden chciał mieć prędzej od drugiego. Gotowe rękawice zbierali tylko od parady i nie zdejmowali nawet wtedy, gdy siadali do jedzenia. Siedziałyśmy przy tej robocie dzień i noc, bo z tego tylko żyłyśmy. Wielu młodych uzbeków uczyło się w Taszkiencie z czego cały kołchoz był bardzo dumny. Ci sami popisywali się znajomością języka ruskiego uważając to za zaszczyt. Często przychodzili do nas i opowiadali o życiu tubylców, i wogóle o ich tradycjach i obyczajach.

Pan Kutak i Pan Stawarz mieli przynajmniej co palić. Pewnego dnia wieczorem weszła do mieszkania wysoka kobieta, elegancko ubrana. Twarz jej biała, delikatna niczym nie zdradzała swego pochodzenia. Czarne, kruczo włosy splecione w dwa warkocze spadały na ramiona. Zawołała mnie po imieniu co mnie nie mało zdziwiło. Przedstawiła się, powiedziała, że jest ciotką Sakdat i nazywa się Zubasz. Jest nauczycielką w 7-ej klasie. Zapytała, która jest moja mamusia. Wskazałam. Podeszła do mamusi i zaczęła rozmawiać. Prosiła, żeby mamusia pozwoliła mi być u niej. Jeżeli nie chcę nocować, to przynajmniej przez dzień. Mamusia nie chciała się zgodzić, ale po długich prośbach i namowach pozwoliła. Następnego dnia rano Zubasz tołe przyszła po mnie. Drogą rozmawiałyśmy. Prosiła abym się u niej nie krępowała i co mi trzeba wszystko brała. Opowiedziała mi swoje przeżycia. Nie zdążyłam się oglądnąć i już przystąpiłyśmy na miejsce. Weszłyśmy na dosyć duże podwórko, wysadzone drzewami owocowymi. Duży ładny

budynek z dużymi oknami. Weszłyśmy do środka. Z przedpokoju prowadziły drzwi do kilku pokoi. Weszłyśmy do jednego z nich. Po środku stał duży stół, obok stała maszyna. Mąż jej starszy już człowiek przywitał mnie. Widziałam na jego twarzy zadowolenie. Z początku czułam się tu trochę nieswojo, ale w przeciągu paru dni znałam już każdą rzecz i każdy kącik w tym domu. Życie płynęło tu podobnie jak i u innych uzbeków monotonnie, Dni upływały i prawie zupełnie się nie różniły. Wczesnym rankiem często przed wschodem słońca wstawała gospodyni, zaraz potem gospodarz. Oboje krzątali się przy gospodarstwie. (krowy, barany, kozy, osły) potem odprawiali modlitwy. Przez ten czas zdążył zagotować się samowar. Zasiadali wszyscy do śniadania. Już sandał otoczony wiankiem głów. Na nim taca z połamanymi przez gospodarza lepioszkami. Przed każdym stoi piałka. Gospodyni po kolei nalewa każdemu herbaty, oczywiście, że herbata jest nie słodka. Gospodarz głośno odmawia modlitwę, wszyscy „umywają" twarze i zaczynają jeść. Jednocześnie rów=

nież kończy gospodarz modlitwą. (Modlitwy odmawiają przed każdym posiłkiem). Do obiadu każdy ma jakieś zajęcie. Ja w tym czasie robiłam koronki, wstawki, czy też coś z wełny. O godz. 2-ej po południu gospodyni zabiera się do gotowania obiadu. Pomagałam jej zawsze przy tym bardzo chętnie. Specjalnie zbudowany uzbecki piec, w ziemi, z małym otworem - „drzwiczki" miał u góry większy otwór, na który stawiało się kocioł, (najważniejsze naczynie). W tym piecu paliło się trawą i nawozem. Kocioł trzeba było obsypać trochę ziemią, żeby się nie dymiło. Nalewało się prawie pełen kocioł wody i wtedy można było rozpalać. Zależnie od tego, co się gotowało, trwało to dłużej lub krócej. Najczęstszym pokarmem kirgizów jest bisparmak lub asz, czy też kaszmałtak. Po ugotowaniu obiadu zwykle gospodyni piekła lepioszki. Rozczynione rano ciasto już wyrosło. Po przemieszaniu trzeba je podzielić na kilka części i z każdej robi się lepioszkę. Gotową lepioszkę kładzie się na specjalnej poduszce, kropi wodą po czym nasma=

Pejzeta i Suchaj. Drogę pamiętam doskonale. Pomimo, że jechaliśmy bardzo wolno, mnie się zdawało, że jedziemy z kimś na wyścigi. Tak strasznie mnie trzęsło. Myślałam że już nie wytrzymam chóć cały czas leżałam u Mamusi na ręku. Już prawie nie mogłam oddychać tak mnie bolało w boku. Mamusia wciąż powtarza, że już nie daleko, a my jedziemy wciąż i jedziemy. Nareszcie wóz stanął. Już — powiedział furman. Otworzyłam z trudem oczy. Było już ciemno i tylko światło elektryczne pozwalało dojrzeć cokolwiek w około. Budynek, duże okna, siostry, nosze, nerwowo-szybkie ruchy doktora jakieś słowa mamusi...
............ i już nic nie pamiętam.
Ocknęłam się rano, ale które to było rano — nie wiem. Usiłowałam się obrócić i przynajmniej przypomnieć gdzie jestem. Chciałam wołać mamusi — nie mogłam mówić. Z trudem wydobywałam głos, chciałam się obrócić — ani rusz. Próżne wysiłki.

Wtem ktoś do mnie podszedł wziął mnie za rękę. Otworzyłam oczy. Nieznajoma twarz starszego mężczyzny uśmiechnęła się. „Już bardzo dobrze" — usłyszałam. Co chwilę ktoś przychodził coś do mnie mówił, ale nie słyszałam. Przyszła siostra Marysia z sanitariuszką przścieliły mi posłanie i obróciły mnie na drugi bok. Wtedy zauważyłam, że leżę wysoko. Tak. Leżałam na stole.
A byłam taka bezsilna, że o własnych siłach nie mogłam usiąść. Codzień czułam się niby lepiej. Po kilku dniach dowiedziałam się, że w tym szpitalu leży: Lala, Józio, Jadzia, a Rysio z Dziadzią już wrócili do „domu". Była tu Jasia K. Marysia St i ich ojcowie. Po tygodniu już czułam się naprawdę lepiej, aż tu wieczorem wyjazd. Wsadziły nas Siostry na ciężarowy autobus. Byłyśmy tylko w koszulach i owinięto nas w koce. Była już noc. Mróz z wiatrem dopinały swego szczypiąc niemożliwie. Auto trzęsie aż się coś w środku przewraca. Będąc bezsilna musiałam się poddawać tym ruchom bez oporu.
No, nareszcie jesteśmy na miejscu. Przyniesiono

nas do mieszkania. Sanitariuszka posadziła mnie na łóżku w jednej z sal, gdzie było 6 osób, a wszystkie rosjanki. Na łóżku tylko siennik, a ze mnie nielitościwi zdarli koc i koszulę. Zostałam tak w stroju adamowym przeszło godzinę. Zmarzłam już tak, że nie mogłam się opanować i zaczęłam płakać. Po pewnym czasie sanitariuszka Hela Zomerfeld przyniosła mi koc i koszulę. Okryłam się, ale całą noc nie mogłam się ogrzać i nawet grzałki nie pomagały. Do rana nie spałam. Rano 39° temperat. Ogarnął mnie okropny żal, bo przecież byłam już prawie zdrowa, a teraz znów. Ale i w tym szpitalu nie zagrzałam miejsca. Po dwóch tygodniach i z tego przewieźli nas gdzieindziej. W tym ostatnim warunki były najlepsze, bo przynajmniej wszy nie łaziły po podłodze jak to było przedewszystkiem w szpitalu miejskim. A o jedzeniu mówić nie warto, bo oprócz gorzkiej herbaty lub zupy z otrąb jęczmiennych i 200 gram chleba nie było nic. Tak pielęgnowali chorych .............. nie mniej 15 trupów wynosili ze szpitala co dzień. Składali wszystkich

na jedną telegę i specjalnie do tego przeznaczony człowiek odwoził na cmentarz. A tam, podjeżdżał nad dół (grób) wywracał telegę i wszystkich, jak nie ludzi zasypywał ziemią. Oczywiście, że chowali gołych. Dni mijały. Przychodziłam do zdrowia. Aż wreszcie przyszedł dzień tak oczekiwany. Przyjechała mamusia i zabrała mnie, Józia i Janka K, do „domu". Jadzia z Lalą zostały jeszcze w szpitalu, ale czuły się już prawie dobrze, tylko miały trochę temperatury. Jechaliśmy wolno. Wiosna już była w pełni. Czułam się tak dobrze, a wpływało na to z pewnością świeże powietrze. Wjechaliśmy do kołchozu, który z daleka było widać. Poznałam te szare mury. Ale teraz było trochę inaczej. Zieleń drzew urozmaicała obraz. Arba stanęła przed kibitką, szłam sama, o własnych siłach. Zaledwie kilka kroków i — bęc. Usiłowałam się roześmiać i tłumaczyłam się, że mi się płaszcz zaplątał. Byłam zadowolona, że już nie jestem w szpitalu. I znów żółwim krokiem szedł dzień za dniem. Nie było co jeść. Widziałam jak mamusia ciężko pracowała na ten kawałek

lepiöski. Sześć razy dziennie jadłam sypodeczek ce=
buli z solą i ajranem — to było jedyne moje poży=
wienie. Pomimo wszystko powietrze dodawało mi sił,
i już po tygodniu znów zaczęłam robić pończochy i
tak się brzydkę popychało naprzód.
Był maj. W sobotę 26/V. mamusia z p. Kułakową
poszły do Turkiestanu do szpitala. Nazajutrz
rano wróciły, i o Boże, co za wiadomość...
— Jadzia umarła i już pochowana. Grabarz za
pokazanie mogiły żądał 80 rubli, a skąd ich
wziąć?? Boże! Uwziął się na nas los!! Nic
tylko choroby, mogiły, i znów mogiły.
„Kogo Pan Bóg miłuje, tego krzyżem prześladuje"
— tak zawsze mówiłam. Jeżeli było mi tak
ciężko na sercu, tym się pocieszałam. Niéraz
przychodziły chwile, że zdawało nam się, że
już nigdy nie doczekamy dni jaśniejszych.
Choroby, brak pożywienia, chłód wytwa=
rzały te właśnie myśli. Ale Bóg chciał ina=
czej. Przyszliśmy stosunkowo bardzo szybko do
zdrowia, i każde z nas zaczęło pracować jak

mogło. I teraz robiąc pewnego dnia swetr, przyszła Liza (Rosjanka, żona uzbeckiego profesora który był w wojsku). Po krótkiej rozmowie wyjęła karty i zaczęła przekładać. Przypomniałam sobie jak na Uralu wróżyła p. Olesiowa, i postanowiłam spróbować. Zaraz następnego dnia zrobiłam sobie karty i zaczęłam próbować. Była przy tym Sahdat. Nazajutrz ku większemu mojemu zdziwieniu, przyszło kilka uzbeczek z prośbą, bym im powróżyła. Nie wiedziałam co mam na to odpowiedzieć. Pomyślałam jednak że z tego może być chleb i oczywiście po dłuższej ceremonii zgodziłam się. Z min tych bab w czasie wróżby wnioskowałam prawdą, czy nie i w końcu zauważyłam, że były zadowolone. (Muszę dodać że jedna z nich rozmawiała po rusku) Sowicie mnie wynagrodziły i poszły. — Początek był dobry. W przeciągu trzech dni wiedzieli już o tym ludzie we wszystkich kołchozach. Cały dzień upływał mi na wróżeniu. Ale za to nikt z nas teraz nie pragnął lepioszek ni mleka, a nawet od czasu do czasu dobre kluski ze smalcem baranim itd.

w przeciągu tygodnia zbierałam 200 rubli. Dziennie około 12 lepiószek, paru kilogramów mąki, zboża no i mleko czy mięsa. Byłam wprost rozchwytywana. Dowiedzieli się o tym ludzie z kołchozów sąsiednich i coraz częściej miałam gości nieznanych. Ale co to była za wróżba ..... — koń by się uśmiał, a głupi naród wierzył. Co prawda, że się często sprawdzało, ale to nic innego tylko Opatrzność Boża nad nami czuwała.
Nieraz byłam jak to się mówi w kropce. Bo były baby głupie, ale były i cwane. Te nie dawały po sobie nic poznać i chciały się dowiedzieć wiele rzeczy. No - wtedy to musiałam i na karty patrzeć i myśleć. Ale przecież od czego głowa? Zwykle robiłam w ten sposób: przedewszystkim starałam się poznać język uzbecki, co udało mi się bardzo szybko, udawałam jednak, że nic nie rozumiem, Uzbeczki będąc pewne, że nie rozumię rozmawiały między sobą o tym co chciały wróżyć. Korzystałam z tego i zbierając

usłyszane słowa barwnie i zawsze mniej lub więcej korzystnie, obszernie powtarzałam. Baby wytrzeszczały oczy ze zdziwienia, hojnie wyna-gradzały i obiecując wiele gdy się sprawdzi odchodziły. Jakoś dziwnie się układało, że bar-dzo często wróżba się sprawdzała, a wtedy Liza Tałacz (tak mnie nazywali) uważana była za wyrocznię. Ślepo wierzyli w każde moje słowo. Między innymi miałam wypadek, że pewnej niebożce, która już 8 lat nie miała żadnej wiadomości od syna, powiedziałam, że za 18 – 26 dni dostanie list, że jest ranny w nogę. Trzeba trafu, baba za 20 dni otrzymała list od te-go syna z tą właśnie wiadomością. Nie wiedziała czym mnie obdarzyć. Tak dni upływały. Na ro-botę nie chodziłam, bo i sił nie miałam. Aż tu pięknego „pięknego poranka przedsiedatiel każe mi iść na robotę, inaczej spisze protokuł. Nie miałam wcale zamiaru tłumaczyć mu się i odpowiedziałam tylko, że nie myślę o głodzie pracować (bo z kołchozu nic nam nie dawali od miesiąca)

—

„Mika niet rabota niet" – taką zawsze dawa= łam mu odpowiedź. Przeszło do wieczora. Robiło się już szaro, siedziałam w kibitce z p. Stawarową Janką i Marysią, nagle Marysia krzyknęła twa= dym zmienionym głosem, że idzie do nas predsie= datiel. Pani S. zbladła. Była pewna że idą mnie aresztować. Mimowoli roześmiałam się. W tym czasie drzwi się otworzyły i wszedł predsiedatiel. W mie= szkaniu panował już mrok i trudno było nawet roz= poznać jaką miał minę. Pierwsze słowa które wyrzekł, to „gdie Liza!" I teraz zaczął prosić abym mu po= wróżyła. Broniłam się tym że nie ma lampy itd, aż tu przynosi lampę i co tylko było potrzeba. Wi= działam, że na nic zda się opór, więc postanowi= łam mu zadość uczynić. Całe szczęście, że znałam trochę jego sprawy rodzinne i mniej więcej urzędowe więc zaczęłam bujać. W międzyczasie spoglądałam jaki ma wyraz twarzy. Gdy zauważyłam cieka= wość i zamyślenie na jego twarzy, wiedziałam, że dobrze. Wypytywał mnie jeszcze o różne szczegóły. Był zadowolony. Wstał pożegnał się

i poszedł, nic nie płacę. Byłam z tego zadowolona, bo ilekroć mi potem zarzucał, że zarabiam wróżeniem, odpowiadałam mu, że tyle płacę ile on zapłacił. Nigdy już więcej nie próbował mnie wyganiać na robotę. Żyło się jako tako. Dzidzia bawiła Erzypkie u Sahadat a Lala była u Odał tohem. Było jej tam dobrze. Salima, którą bawiła tak się do niej przywiązała jak do matki. Przyszedł czerwiec. Ludzie po trochę wyjeżdżali w pole na żniwa. W kołchozie oprócz naszych mało kto został. Byłam zmuszona iść na robotę. Ciężka to była praca przy noszeniu ziemi, okopywaniu wały lub noszeniu cegieł, ale cóż. Tak samo mijały dni w znojnej pracy. Aż tu pewnego popołudnia nagle zachmurzyło się. Nikt nic nie przypuszczał. Aż tu wieczorem (wszyscy już pokładliśmy się spać) rozległ się przeraźliwy krzyk. Mamusia skoczyła do okna i o rety! Powódź woda już sięga prawie po okna. Wszyscy uciekają z krzykiem. Zerwaliśmy się natychmiast i ubrawszy się poczęliśmy uciekać. Wody na podwórku

było już po pas. Na drodze lewie było widać ko=
niom grzbiety. Trwoga zapanowała w kołchozie.
Wydostaliśmy się bokami na dość wysoki pagórek
gdzie przesiedzieliśmy całą noc i część dnia. Wiele
tej nocy zmyło kibitek (nasza jakoś ocalała). I znów
było pełno roboty. Warunki były coraz gorsze. By=
łam zmuszona pracować w kołchozie. Nie chcę już
pisać o tej biedzie jaka nas nawiedziła. A gdy
w takich bardzo ciężkich chwilach zwracałam się
do p. delegata – zawsze odchodziłam z jednym:
„narazie nie ma nic". W tym to czasie przyjechał
jakiś przedstawiciel wojska z Jangi-Julu i zostało=
no w Turkiestanie Polską ochronkę, do której za=
brano Dzidzię, Józia, Lalę i Rysia, ja jako star=
sza zostałam przy mamusi. Co tydzień chodziłam
na zmianę z mamusią do Turkiestanu odwiedzić
ich. Ciężkie to były wyprawy. Po całodziennej pracy
w sobotę wybieraliśmy się na noc w drogę.
Szłyśmy zawsze gromadą 6 – 10 osób i tak nies=
postrzeżenie przechodziliśmy 35 km drogi przez
szczere pole. (Po drodze był tylko 1. kołchoz)

Rano odwiedziłam dzieci i z powrotem do „domu". Po tygodniu dowiedzieliśmy się w Turkiestanie przyjmują do junaczek. Gdy wiadomość ta dotarła do mamusi, która nie mogła patrzeć jak ciężko pracowałam a co szkodziło mi na zdrowiu, perswadowała mi, abym wstąpiła. Nie chciałam o tym słyszeć, bo jakże miałam zostawić mamusię samą. Kilka dni trwała namowa. „Tam będziesz się uczyć, kształcić i będziesz mogła pracować dla naszej ojczyzny, która od nas czeka nowego życia. Pomścisz pracą śmierć tatusia" — te słowa zwyciężyły. 19/VII 1942 r. o godz. 11-ej wieczory ja, Janka i Marysia, żegnałyśmy mamusię. Odprowadziły ~~śmy~~ nas za kołchoz i tu ------ „Boże prowadź" — słowa te brzmiały nam bez ustanku w uszach, i teraz je słyszę. Szłyśmy, szłyśmy nic prawie do siebie nie mówiąc. Noc była ciemna, bez gwiazd. Gdzieś daleko rozległ się przeciągły gwizd lokomotywy, daleko drżały świątełka. Szłyśmy szybko. Zorze poczynały już wschodzić gdy przyszłyśmy do ochronki w Turkiestanie. Wszystko jeszcze spało, więc musiałyśmy zacze=

kać u podwoi. Nareszcie rozwiodły się ze zgrzytem. Oczywiście upłynęło 1½ dnia i już byłyśmy przyjęte formalnie. W małym pokoiku mieszkało nas 45. Spałyśmy na dworze na kocach i t.d. Następnego dnia przeznaczono mnie do pomocy p. doktór. Uwijałam się cały dzień przy dzieciach w szpitaliku. Rozdawałam lekarstwa, zakrapiałam oczy; (należy dodać, że choroba oczu była epidemią) obandażowywałam rany i t.d. Ale tego było niedługo, bo nazajutrz ponieważ byłam najmniejsza musiałam iść pomagać w kuchni. Po południu miał odchodzić 1-szy transport do Jangi-Julu. Pojadą te które przyszły najwcześniej. Roboty mamy dużo, bo musimy tym które jadą nasmażyć naleśników na pożegnanie. Za dwie godziny odmarsz na stację. Wtem woła mnie p. delegat. Proszę się spakować i dziś pojedziesz. — Co? w pierwszej chwili nie rozumiałam. Dzidzia już 2 miesiące jak pojechała i nie mieliśmy od niej żadnej wiadomości, mamusia nic nie wie, Janka i Marysia zostaje — wszystko to stoczyło się do mojej

głowy, ale nie było czasu do namysłu. Zaraz pożyczyłam u Marysi spódniczkę, jedyny swój sarafanik wyprałam i w niespełna godzinę w nieco jeszcze wilgotnym sarafanie byłam gotowa. Rzeczy żadnych nie miałam, pożegnałam się z koleżankami i odeszłam z innymi na stację.
Do stacji było około 3 km. Szłam nie mogąc przemówić słowa. Wewnątrz, w głębi duszy stoczyłam walkę z sobą. Jechać, czy zostać? Jakże, nawet Mamusia o tym nic nie wie, a ja już jadę. Dokąd, nie wiem sama. Pojechała już Dzidzia i żadnej o niej nie ma dotychczas wiadomości. Boże, któż mi wskaże drogę jeśli nie Ty. Zaczęłam się modlić. Nie zauważyłam, że było już zupełnie ciemno i doszłyśmy do stacji. Coś mi mówiło, że przecież Polska na nas czeka. Nam nie wolno robić tego co nam odpowiada, ale musimy spieszyć ojczyźnie z pomocą. Odbudować ją z gruzów. Podnieść i stworzyć przy pomocy Boga potężną, wielką którejby nigdy, nikt nie mógł skrzywdzić. Teraz przyszły mi na myśl słowa najdroższego Tatuśka, który do ostatka

dni swoich służył tak ukochanej przez niego Polsce. Nie zawahał się i życia dla niej oddać, chciał własną piersią zasłonić ją od tej nawały bolsze-wickiej. Wiedział że ma przecież rodzinę, a ko-chał nas bardzo. Odszedł. Nad nami zawisły straszne dni. Ach! Te wspomnienia... Jakie są one bolesne. — ......

Nie mogłam zasnąć. Wszystkie przeżycia stanęły mi przed oczami. Nie odczuwałam zimna ani ser. głodu. Słońce już wzeszło. Na śniadanie zjadły-śmy w stołówce na dworcu po porcji zupy z chlebkiem i o 9-ej rano pojechałyśmy. — Z wagonu widać było wieś która była bliz-ko kołchozu Stary-Ikan. Tu znów ścisnął mi serce ból. Tam przecież Mamusia została. Mój Boże! .... Jechaliśmy do wieczora. Zatrzy-maliśmy się w Jangi-Julu a rano byliś-my już we Wrewskaja. Pan Brin i p. przywieźli nas tutaj i zaraz gdzieś wyjechali. Szliśmy ze stacji do obozu. Ach! jak tu ładnie Tyle drzew. Oczy spragnione ich widoku nie

mogły się od nich oderwać. W dali nad rzeczką pod dużymi drzewami coś bieleje. Jakieś stożki przy nich coś miłego mnówki się mija. Dowiadujemy się, że to mieszkają junaczki, junacy i orlęta. Jak tam musi być ślicznie, co chwilę ktoś p nas powtarzał. Doszłyśmy do mostu, a tu o! naprawdę stoi warta. Pan Brun nas zameldował. Zaraz nas wpisał jakiś por. w okularach. Idziemy teraz dalej. Śliczne czyściutne, białe namioty. Wszędzie czyściutko i miło. Wybiegło z namiotów tyle junaczek i orlątek. Wszyscy się nam przyglądają. Patrzymy na nie przez łzy. One tak ładnie ubrane, a my w łachmanach. Lecz oto oczom swym nie wierzę. Kto to? Dzidzia!! Rzuciła mi się na szyję. Boże tak długo nie widziałyśmy się i nawet nie wiedziałam gdzie ona jest. Jak doskonale wygląda. Ja ładnie ubrana. Nie dadzą nam dojść do słowa. Obstąpiły nas. Dzidzia zaciągnęła mnie do swego namiotu i z swoimi koleżankami zaczęły mnie

zasypywać ryżu tylko chcecie. Owoce, daktyle, czekolada, konserwy, bułka, chleb. Nie wiedziałam za co mam się pierw brać. Wreszcie najadłam się dosyta, o ryżu już tak dawno marzyłam. Bo od siedmiu lat żołądek był wciąż głodny. Tak minął dzień pierwszy i drugi. Natychmiast napisałam do Mamusi i posłałam do tego por. w okularach p. Hękola z prośbą aby ściągnął Mamusię z kołchozu. Pocieszył mnie, ale jak to mówią „obiecanka cacanka a głupiemu radość". Trzeciego dnia nowe junaczki zostały umundurowane. Do obiadu i po obiedzie musztra. Fajny jest ten por. Juzwa. Przynajmniej. Jak nas kilka razy przemusztrował, to wszystko chodziło jak prawdziwe wojsko. Spałyśmy na ziemi. Jeden koc pod siebie. Buty pod głowę, drugi na wierzch i fajno. Od czasu do czasu zbierałyśmy kłosy na kołchozowych polach za co wzamian dostawałyśmy owoce. Kuchnia była fajna. Jednym słowem wszystko było fajno.

6/VIII 42 r. po wieczornej modlitwie jak zwykle czyta por. rozkaz. Czy słyszę? Nastawiam bardziej uszy. Rzeczywiście. Pawlicka Elżbieta drużynowa 1-ej drużyny III-go plutonu I-ej komp. a na dodatek tego wieczoru trzyma wartę od 12 — 2 godz. w nocy. Natychmiast po modlitwie odbyła się odprawa warty. Objaśniono nam co do kogo należy i komu należy się meldować. Po odprawie kazano nam iść spać i aby na wartę nie zaspać. Nie mogłam tej nocy do 10-ej zmrużyć oka. Junaczki z tegoż namiotu opowiadały mi jak często porucznik sprawdza (czujność) wartę podkradając się pod krzakami w kierunku magazynu lub namiotu. Zdrzemnęłam się chwilkę i w tem weszła służbowa budzić na wartę. Zerwałam się i w niecałe dwie minuty już byłam gotowa. III-ci rejon dość duży. Chodziłam tam i z powrotem uważając bacznie, aby ktokolwiek nie przemknął się do obozu od strony ogrodu przyległego. Tak chodząc zauważyłam że ktoś zbliża

się do obozu z przeciwnej strony. Szedł powoli, to też zaczęłam go obserwować. Zaczął okrążać i starał się podejść do namiotu z drugiej strony. – „Nie znam się na tym" pomyślałam i natychmiast zastąpiłam mu drogę postępując z nim jak prawdziwy wartownik. Odprowadziłam go na wartownię i okazało się, że był to saper, który miał jakiś interes do porucz. Pośmieli się trochę, a por. był bardzo zadowolony co mi najbardziej zaimponowało. Wróciłam na swój posterunek. Jeszcze tylko parę minut i mnie zmieniono. Tak dni upływały. Poprawiłam się bardzo. Często na nocnych wartach zdawało mi się że przez gwiazdki patrzą na mnie oczy Tatusia, który cieszy się i uśmiecha widząc nas pełniących wartę. (Bo i Dzidzius też często miała wartę). Za tydzień przyjechał nowy transport z Turkiestanu. Może Mamusia przyjedzie. Lecz niestety. Przyjechały tylko wybrane przez p. delegata panie i dzieci. Przyjechała Janka i Marysią

Walka z Janką, Dorką i inne. a z drugiej strony Marylka Kołodziej. Dowiedziałam się że Mamusia ma zamiar przenieść się z p. Kulakową i Stawarzową do miasta i tyle wszystkiego. Zaraz wieczorem prawie po omacku, trochę przy księżycu napisałam list do mateńki, który zabrała znajoma pani odjeżdżająca do Turkiestanu. Bolała mnie niesprawiedliwość ludzka i poleciłam nas wszystkich opiece Bożej. Przeszło niespodziewanie dwa tygodnie. Dowiedzieliśmy się, że wyjeżdżamy do Krasnowodska, a stamtąd za granicę. Jednego dnia wyjechali chłopcy. Całą noc musiałyśmy czujnie pilnować, bo zaczęli podchodzić do namiotów uzbecy. Z wieczora kto miał jakiekolwiek łachy prócz wojskowych, kazano spalić. Podcinano prawie wszystkim włosy (Kto miał obcięte, a takich było wiele, tym oczywiście nie mieli co obcinać). Całą noc paliliśmy walizkami i starymi sukienkami, całą noc tliły się włosy, których był prawdziwy stos. W nocy zerwał się wiatr i deszcz zaczął padać, ale

trwało to niedługo. Rano już wszystko uporządkowano. Zdjęto flagę, por. Kękol i Józwa mieli krótkie przemówienia, poczym wyjechaliśmy na stację. Wagony już na nas czekały. Oczywiście że towarowe. Ładowaliśmy się do wieczora. Ciasno było niemożliwie. Jeszcze w dzień jako tako, ale noc — okropna. Karoly drzemał, a nie mógł się położyć bo nie było gdzie. W naszym wagonie jechał p. por. Kękol. Widząc same dzieci zajął się ich ulokowaniem. Namęczył się biedak niemało, ale swego dopiął. Na ziemi, na walizkach, gdzie tylko mógł poukładał wszystkich, a sam oparłszy się o ścianę, przy samiutkich drzwiach, siedział na beczce i drzemał. Przemęczyliśmy noc. Znów przyszedł ranek. Pomimo że dostawaliśmy czekoladę, różne konserwy, cukier, kiełbasę, chleb, owoce, w większych miastach dostawaliśmy obiady, jednak nie mogliśmy nic jeść. Trzeciego dnia przyjechaliśmy do Krasnowodska. Pustynia istna, oprócz tego naokoło niemal otoczona górami. Wysiedliśmy. Zaprowadzono nas do bani gdzie




mieściło się już cała masa ludzi. Tu spot=
kałam wielu znajomych, a między innymi p.
Futgatową, Rutkowskich i wiele innych osób. Co się
tu działo.. strach wspominać. Wody na lekar=
stwo trudno było dostać. Za litr wody oddawałyśmy
konserwy, sucharki, czekoladę, byleby tylko
kroplę wody zdobyć. Już tam tyfusów zostało.
W dzień chodziłyśmy się kąpać w smole,
takie bowiem jest morze Kaspijskie przy
brzegu. Woda w morzu słona jest niemożliwie
-wobec tego nie mogła się nadawać nawet do
gotowania. Po dwóch dniach autobusami
przyjechaliśmy na przystań. Ulokowaliśmy się
przy samiutkim brzegu. Tu woda była
prawie bez tłuszczu pływającego, to też mogły=
śmy się przynajmniej umyć. Morze w tym
miejscu jest zupełnie spokojne i tylko lekko
napływające fale, goniąc jedna drugą cichut=
ko szemrzą. Od czasu do czasu okręt wdziera się
swą stalową piersią w lustrzaną taflę. Widać

że może się gniewa. Zaczyna się pienić, szumi coraz głośniej, zdaje się że nieszczęsny okręt, który wdarł się i począł mącić jej spokój, chce wciągnąć w głąb, zamyć, utopić. Skarpie się z nim zmagają się. Nie może dać fala rady. Okręt dojechał do brzegu. Stanął wolno, tak jak wolno się zbliżał. Poczęli wysiadać jacyś ludzie. Wtem rozkaz. - „jedziemy”!! „Plutonami proszę wsiadać!!” - rozlegały się podawane z ust do ust słowa. Powoli. Wsiadamy. Kotwiczne pomagają nam nosić plecaki. Mało tego że miałyśmy dość dźwigać własne plecaki, to musiałyśmy nosić rzeczy p. plutonowym. Trzeba zaznaczyć, że te zawsze umiały się nami posługiwać. Zmęczone wreszcie byłyśmy już na pokładzie. Na pokładzie było już bardzo dużo ludzi. Starcy, młodsi i dzieci, wszystko to wyglądało jak mrówki obsiadłe kopiec mrowiska. Wieczorem ruszyliśmy. Słońce zachodziło gdy odbijaliśmy od brzegu. Różowe promienie pieściły spokojną taflę, muskając ją swymi różowymi

pocałunkami. Nad morzem unosiły się gdzie
niegdzie białe mewy, które od czasu do czasu
przysiadały na lśniącej powierzchni. Ostatnie pro-
mienie żegnały dzień 30/VIII/42 Okręt począł pruć
wodę zanurzając co chwilę swój dziób. Kołysał
się z boku na bok. Jeszcze chwila, a trudno
odróżnić niebo od ziemi. Czarna toń nad
i pod nami. Nawet gwiazdy zgasły na nie-
bie, a morze zaznaczały gdzie niegdzie mi-
gające światełka kolorowe. W tem coś się stało
Stoimy na miejscu. Okręt zaczął się kołysać
z boku na bok. Zaczęły ryczeć syreny prze-
raźliwie. Wiele ludzi spało, ale kto nie spał
z duszą i sercem wzniesionym do Stwórcy za
pośrednictwem Mateńki Najśw. błagał o ratunek.
Po dość długiej chwili nadjechało dwa okręty
nasz przywiązano do nich i dopłynęliśmy
do jakiegoś brzegu. Wyruszyliśmy znowu i rano
na horyzoncie ukazały się jakieś drzewa i światła
Dojeżdżamy. Oczekało kilku żołnierzy. Nareszcie.
Dobijamy do brzegu. Okręt dalej płynąć nie może

wobec tego przesiadamy na motorówkę i nią dojeżdżamy do brzegu. Tu już czekały na nas auta. Wsiadamy na nie szybko. Jedziemy rozglądając się wokoło. Cóż to? Sen czy jawa? Śliczne budynki otoczone ogrodami. Moc kwiatów, drzewa owocowe, domki jak pudełeczka, sklepy pełne towarów, wspaniałe wystawy, wszystkiego wbród. Przyjeżdżamy do szałasów. Są tu już „pestki" i żołnierze. Wskazano nam dwa szałas. Natychmiast ulokowałyśmy się. Nie zdążyłyśmy usiąść a tu „dobre, świeże jajka, dobre bułki"! To tubylcy kupcy zachwalają swój towar. Pytamy o cenę. Wszystko bajecznie tanie. Ponieważ nie miałyśmy pieniędzy, ale miałyśmy różne konserwy za które wymieniłyśmy wszystkiego. Zmęczone podróżą morską położyłyśmy się wcześnie spać. Ponieważ Dzidzia źle się czuła i cały czas w drodze była chora, wokryłam ją swoim płaszczem a sama spałam tylko pod jednym kocem. W nocy nadeszła chmura i zaczął lać deszcz. Zmokłam porządnie i zmarzłam. Do rana wytrwałam tak, ale dalej nie udało mi się. Dostałam gorączki, czułam się okropnie, ledwie chodziłam, a tu pana Urszula uwzięła się na mnie

i wygoniła na musztrę. Nie wiem dokąd by mnie tak męczyła gdyby nie to, że na jednej ze zbiórek w czasie odliczania „do drugi" zemdlałam. Pamiętam że leżałam w namiocie gdy przyszedł doktór. W namiocie leżały jakieś dwie obce dziewczynki b. chore. Dostawałam co dziennie po trzy pastylki jak się później dowiedziałam była to chinina. Teraz co dzień czułam się gorzej. Nie wiem czy do mnie kto przychodził i kto był koło mnie. Całe noce nie mogłam spać. Jakieś cienie przesuwały mi się przed oczami. Zamykałam je co chwila. Chciało mi się niemożliwie pić ale nie było co. Nie mogłam się podnieść. Paliła mnie gorączka. Gdzieś wyły szakale a ja w tej takiej piekielnej męce trwałam prawie do rana. Zawsze nad samym ranem opuszczała mnie gorączka i wtedy chwilkę spałam. Budziłam się rano i zdawało mi się że jestem zdrowa. Próbowałam sama wyjść na dwór, ale nie wystarczyło mi siły. Ledwie podniosłam się z posłania a opuściły mnie siły, pociemniało w oczach i opadałam napowrót na ~~fotel~~ bolesci. Od tej pory co dzień o godzinie jedenastej miałam coraz to gorsze i cięższe ataki malarii. Co raz to mocniej rzucało mnie

trzymałam się wtedy kurczowo postanowienia, ale to nic nie pomogło. Co noc przechodziłam takie same męczarnie. Ale z tego było jeszcze mało. Więc na dodatek, nie wiem czy z gorączki czy z innego powodu zrobił mi się na podniebieniu mały pryszczyk. Pokazałam to doktorowi. Ten kazał siostrze wyłapisować go. Siostra zamiast krostkę wyłapisowała mi całe dziąsła. I teraz zaczęła się dla mnie podwójna męka. Dziąsła popuchły mi okropnie. Do rana całe tworzyły jedną ranę. Nie mogłam ust otworzyć ani zamknąć. Niemożliwem było, abym cośkolwiek wzięła do ust, albo mówiła. Tak z półotwartymi ustami nic nie jedząc leżałam jeszcze dwa dni w namiocie. Potem odtransportowali mnie do wędrowniczów. Tu raz na dzień rano zaglądał doktór, siostra - żydowica nie bardzo interesowała się chorymi. Żyłam tu tylko chininą płynną i w pastylkach oraz gorzką herbatą kupowaną w sklepiku. Nic więcej jeść nie mogłam. Jeszcze od czasu do czasu wypiłam rzadkiego rosołku, a prócz tego nic. Siostra z innego namiotu zaprowadzała mnie do dentysty. Po takich wizytach byłam z bólu prawie bez zmysłów. Dziąsła jednak prawie się nie goiły. Dentysta wycię-

chać i mnie wówczas przewieziono do szpitala w Pahlewi. Tu dopiero lekarz i siostra zabrali się sumiennie do leczenia mnie. Po paru dniach czułam że jest lepiej z moimi dziąsłami. Teraz już z dniem każdym było lepiej. Zaczęłam jeść co popadło oprócz rzeczy słodkich. Sam doktór powiedział że jest nadzieja, że mi zęby nie powypadają, co mi niechybnie groziło. Już miałam siłę chodzić. Używałam świeżego powietrza, ile się dało. Łaziłam po rejonie przyglądając się z daleka czarownemu miastu Pahlewi. Wyglądało naprawdę pięknie. W dni słoneczne przeglądało się w spokojnej tafli wód zamkniętych między brzegiem i molem. To samo miasto wieczorem wyglądało stąd jak miasto z bajki. Tonące wśród zieleni pałacyki i wille i wspaniałe altany, w nocy ginęły wśród milionów różnobarwnych świateł, pod baldachimem granatowego nieba często bez gwiazd. Pewnego razu tak chodząc usłyszałam głos znajomy. Tegoż samego dnia w niepolitycznym zakątku spotkałam po przeszło dwuch latach Helę Sz. i Irkę Miller. Od nich dowiedziałam się, że już wszyscy wyjechali do Teheranu. Od tego dnia upłynął tydzień i my wsiadałyśmy do autobusu osobowego.

Przedostatni transport wyruszał z Pahlewi do Teheranu. Gdy wyruszyliśmy był ranek. Jechała z nami tylko jedna siostra sanitarna a nas chorych 20 osób. Mijamy Pahlewi. Pozostają za nami sady i wspaniałe ogrody. Mijamy jakieś rozległe łąki porośnięte wysoką trawą jakąś nieznaną mi roślinnością. Moc barwnych papug przelatywała z gałęzi na gałąź. To mi się podobało. Bawiły mnie te najróżnorodniejsze pejzaże. Lecz to się prędko skończyło. W południe wjechaliśmy w góry. Zaczęły się serpentyny i nagłe skręty. Nad nami z prawej potężna skalna ściana a po lewej tuż za drogą przepaść. Co chwilę mieliśmy wrażenie że lada moment stoczymy się w tę głębię. Tu i ówdzie spotkaliśmy leżące w dole potrzaskane auto czy ciężarówkę. Teraz nic nam nie pozostawało prócz przygotowania się na śmierć. Stała nam przed oczami jej widmo i Matka Najświętsza ochraniająca nas przed tęże i zasłaniająca Swym płaszczem. Wtem coś trzasło. Tak to opona pękła. Wóz zaczyna się toczyć w tył. Akurat jesteśmy na ostrym zakręcie i ciężko jedziemy w górę. Jezus, Maria! wyrwał się równocześnie z wszystkich piersi okrzyk. Tymczasem szofer wyskoczył podłożył duży kamień pod koło. Hamulce były zatorione, a

to całe szczęście bo inaczej kto wie co by się stało. Szofer zabrał się do reperowania koła. Już mamy jechać a tu okazało się, że w zbiorniku nie ma benzyny. Rozpacz czarna ogarnęła wszystkich. Widocznie sądzone nam tutaj zostać skoro tak. Wszystkie wozy dawno pojechały naprzód nic nie wiedząc o naszej przygodzie. Na szczęście jechała z Pahlewi cysterna z benzyną. Szofer dostał trochę benzyny i jako tako późno wieczorem dojechaliśmy do          gdzie przenocowaliśmy. Była to mały przystanek dla transportów szpitalnych. Posiliwszy się i przespawszy noc rano wyruszyliśmy w dalszą drogę. Celem dzisiejszej podróży był Kazwin. Jechał z nami jeden z żołnierzy, porucznik dość młody, to też było o wiele raźniej. Nie bez przygód dojechaliśmy do Kazwinu przed samym wieczorem. Zatrzymaliśmy się w ładnym budynku, który miał być częścią szpitala. Kolacja była doskonała, a nawet można tu było kupić owoców, co w drodze było nie do pomyślenia. Następnego dnia rano dzieliła nas już tylko 1/3 drogi już o wiele bezpieczniejszej. Serpentyny były mniej strome i przepaście nie takie okropne. Byliśmy wysoko n. p. m. bo
Teren stał się falisty góry coraz mniejsze (bo byliśmy na górach)

widmo śmierci ustępowało. W blasku słońca nagie skały mieniły się tysiącem barw. Miałam chęć namalować kilka takich widoczków ale nie miałam czym i na czym. Nie raz coś, jakiś głos odzywał się mi w duszy. Chciałam i pragnęłam wtedy tylko malować, tworzyć i odtwarzać, lecz niestety. Uśmierzałam głos wewnętrzny, tłumiłam wołanie, bo nie miałam go czym zaspokoić. Nareszcie Teheran. Godzina 3-cia po południu. Zajeżdżamy przed szpital P.C.K. potem przed „cywilny". Wszędzie przepełnienie. Zbadano nas i jeszcze raz obstrzyżono włosy. Następnie doktór oznajmił, że nie ma miejsca i musimy jechać do obozów. Przyjechałam do obozu pierwszego. Była akurat modlitwa wieczorna.

Ks. F. Bardel.

## Do Królowej Polski.

Najjaśniejsza Królowo prastarej Korony,
Matko najserdeczniejsza Twoich polskich dzieci,
Oto się dziś chylimy przed Tobą z pokłonem,
Gdy nadszedł, jak co roku, radosny Maj Trzeci.
Niesiemy Ci z pokłonem najpiękniejsze perły:
Łzy Matek Polskich — do Twej Królewskiej Korony.
Niesiemy Ci rubiny — do Twojego berła —
Krople krwi z serc polskich dzieci, tak bardzo męczonych.
Kiedy wojsko nie miało gdzie przyłożyć głowy,
Gwiazdami błyszczącymi jak srebrem obsiane,
Niesiemy Ci — na płaszcz Twój — noce szafirowe,
Twoje wierne zastępy, wiarusy kochane...
Wszystkie Ci na naszyjnik niesiemy różańce
Wszystkie „Jezus, Maria" krzyczane wśród bitwy,
Wszystkie Ci na podnóżek dajemy polskie szańce,
I wszystkie za Ojczyznę szeptane modlitwy.
I tak Cię ustroiwszy błagamy o, Pani!
Abyś nie opuszczała swoich Polskich dzieci.
Lej na Naród nasz łaski — w święto Królowania
W święto Twej chwały, Marjo, w radosny Maj Trzeci!

Zbadaj swe serce czy ono jako żywy zegar odbija w sobie wiernie odwieczną Wolę Serca Bożego, powtarzając bezustannie: „Bądź Wola Twoja"....."

## Z opłatkiem białym

Idę do Was z opłatkiem wigilijnym, z chlebem anielskim miłości, przebaczenia i zgody i pojednania. Do tych wszystkich którzy cierpią, do tych wszystkich którzy płaczą i żyją w smutku a utęsknieniu... Do udręczonych, do głodnych i zziębniętych, do poniżonych i prześladowanych niosę chleb boży w ten wieczór wigilijny, w który rodzi się Zbawiciel świata.
Podnieście głowy i duchy, gdziekolwiek będź jesteście. Nie traćcie nadziei. Obudźcie ją! Oto dziś schodzi na padół ziemski Sprawiedliwość i Miłość.

— Idę do wszystkich tych co w godzinie wigilijnej są jako tułacz błędny i jako ptak zgubiony. Do tych co bez dachu nad głową smutni są... Do tych co w celach więziennych nie dojrzą gwiazdy-zwiastunki. Do wszystkich co w dalekiej stronie śnieżystej do ziemi tęsknią rodzinnej, do jej powietrza, do szmata nieba polskiego.

Pozdrawiam was braterko... Kochajcie, tęsknijcie — czuwajcie.

Idę do wszystkich którym nikt opłatka nie poda... Do tych których nikt nie pocieszy... Do każdego potrzebującego serdecznego słowa.

Z opłatkiem białym idę do was... do was wszystkich bracia moi. Niech wam Bóg który się rodzi da wam otuchę i moc i wytrwanie.

Idę do grobów... do tych grobów dalekich i bliskich, starych, w ziemię zapadłych i niedawnych — i najświeższych...

Posyłam wam westchnienie i modlitwę... Nie żałujcie życia oddanego w ofierze, bohaterowie moi, albowiem pamięć wasza żyje w każdym drgnieniu serca mego.

Z opłatkiem białym idę do was...

Richard Pawlicki Scarborough, ONTARIO

Leokadia, Louisa Pawlicka Toronto, ONTARIO

Doris Whitaker Pawlicka Clitheroe, England

Dave Squire - Toledo, Ohio

Brian Hille - Toledo, Ohio

Andrew Pawlicki Brighton, England

Patricia G. Zukowicz (Frankowski) Toledo, Ohio

Barbara Pawlicki Toronto, Ontario

Irene Pawlicki Toronto, Ontario

RYSIEK PAWLICKI - SCARBOROUGH - ONTARIO

Józio Pawlicki Clitheroe England.

Dorothy Pawlicki Toronto, Ontario, Canada
Elżbieta Pawlicka - Frankowska
5256 Rowland, Toledo, Ohio, USA.

Zenia Pawlicka - Wikło Radom, Polska

6/23/ Toledo, Ohio -
Elizabeth G. Frankowski

Mary Squire (Frankowski) Toledo, Ohio
[illegible] Hille (Frankowski) Toledo, Oh
Mark Frankowski Toledo, OH

[illegible] (LEON FRANKOWSKI) BROOKFIELD, CT 06804

Anji Holroyde BRIGHTON ENGLAND
William P. Hille Toledo, Ohio

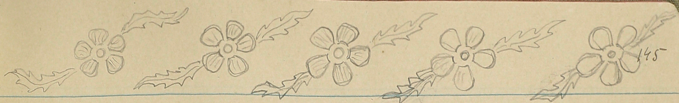
Craig Hille Toledo, Ohio

[illegible]
(Elizabeth Squire) (Toledo, Ohio)

"Millie" Hille - Toledo, Ohio

Arnold Hille Toledo, Ohio

Jerome Joseph Zehowski - Toledo Ohio !!!



[illegible] Drogiej

z serdecznem życzeniem

by

[illegible] dnia [illegible]

[illegible]

[illegible] [illegible]

20. XI 1943 r.

Kiedyś może kiedyś z góry
kiedy już nie będzie mnie
weź ten zeszyt i przeczytaj
że był ktoś, kto wspomni cię.

Isfahan 20/XI 43

[illegible]

